NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 23 września 1916. Nr. 39.

Klęska Rumunii.



Obóz wojsk bułgarskich pod Tutrakanem w Dobrudży.

Od Administracyi.

Z numerem następnym kończymy III-ci kwartał XIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma.

Do następnego numeru dołączymy dla P. T. Prenumeratorów w Austryi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	20 koron
Półrocznie	10 „
Kwartalnie	5 „

Klęska Rumunii.

Prędzej, niż można było się spodziewać, nowy sprzymierzeniec koalicyi poniósł dotkliwą klęskę. — Rumunia, upojona w pierwszych dniach walki zwycięstwami w Siedmiogrodzie, który szybko zajęła z głównemi miastami Kronstadtem i Hermanstadtem, znalazła się teraz w niezmiernie trudnem położeniu, zaatakowana z południa, w Dobrudży, przez wojska niemiecko bułgarsko-tureckie. Wprawdzie na pomoc Rumunom pospieszyła tam Rosya, wysyłając do Dobrudży silną armię, z zamiarem zaatakowania Bułgaryi, akcya ta jednak spaliła na panewce. Wojska rumuńsko-rosyjskie nie tylko nie zdołały przejść do ofenzywy, ale poniosły szereg decydujących porażek. Pod naporem wojsk sprzymierzonych padł Tutrakan — silna twierdza rumuńska, a w kilka dni zaledwie i Sylistrya. Przykre doświadczenia wyniesione z obrony Tutrakanu, jak niemniej klęski, które spadły na zjednoczone wojska rumuńsko-rosyjskie w innych odcinkach frontu w Dobrudży, skłoniły kierownictwo armii nieprzyjacielskiej do opuszczenia czemprędzej Sylistryi, aby przynajmniej ujść katastrofie, czyhającej na siły tu zebrane.

Rzecz jasna, że ewakuacyą nie osiągnięto żadnych korzyści strategicznych. Przeciwnie. Dzięki temu, że sprzymierzeni nie potrzebowali podejmować żadnych wysiłków dla zdobycia twierdzy, strategiczne korzyści, jakie ona daje swemu posiadaczowi, stały się jeszcze cenniejszemi, tem bardziej zaś pogorszyły sytuacyę nieprzyjaciela w Dobrudży.

W ten sposób strategiczny czworobok Tutrakan-Sylistrya-Bobricz-Balczik, który połączone siły rosyjsko-rumuńskie miał zrazu osłaniać, by mogły rozwinąć się w szyk bojowy, a następnie służyć miał za podstawę ofenzywy przeciw Bułgaryi, nie spełniwszy swego zadania, wpadł w ręce wojsk niemiecko bułgarskich i teraz ich operacyom użycza oparcia. Zmieniły się role. Dziś Bułgarya zagraża flance, a może nawet tyłom wojsk rumuńskich, zamiast być zagrożoną przez Rumunów. Korzystając też z pomyślnej sytuacyi, podsuwa się lewem skrzydłem coraz bliżej ku przyczółkowi mostowemu pod Czernavodą. Skutkiem tego wojska rumuńsko-rosyjskie zostają niejako przyciśnięte do muru, co naraża je na rozliczne niebezpieczeństwa.

Po utracie strategicznego czworoboku doznaje armia rumuńsko-rosyjska losu każdej armii pobitej. Musi ona opuścić nie tylko pobojowisko, na którem spotkała ją klęska, lecz także najbliższe przestworze



Klęska Rumunii: Kronstadt, główne miasto Siedmiogrodu, zajęte przez Rumunów



Klęska Rumunii; Ogólny widok zdobytego przez wojska niemiecko-bułgarskie miasta Sylistryi.

operacyjne. Gdzie zatrzyma się jej wsteczny pochód, niewiadomo — prawdopodobnie na południe od linii Czernavoda Konstanca.

Wśród tego pojawiły się wojska niemieckie także na terenie siedmiogrodzkim. Ujrzano je w zachodniej części kraju, na południowy-wschód od Hatszeg, a więc w kierunku Petroszenów i w odcinku Hermanstadtu. Tam starły się one z Rumunami.

Ale punktem decydującem walki stała się Dobrudża. Tam też w dniu 16 września wojska rumuńsko-rosyjskie poniosły decydującą klęskę, o której wojenna kwatera prasowa ogłosiła następujący komunikat:

„W Dobrudży w toku jest bitwa na przestrzeni ośmdziesięciu kilometrów. — Lewe skrzydło armii



Klęska Rumunii: Kościół rumuński w Hermanstadzie (Sybin).

bułgarskiej stanęło już na terytoryum dawnej rumuńskiej Dobrudży. Prawe skrzydło ściga energicznie nieprzyjaciela, aby go uczynić niezdolnym do walki.

Walki, które na terytoryum tem zakończone zostały, przyniosły sukces, przechodzący wszelkie oczekiwania. Chociaż nieprzyjaciel na obszarze starej rumuńskiej Dobrudży posiada jeszcze kilka miejsc warownych, nie zdołają one już osłonić rozbitych jego wojsk.

Los cofających się sił rumuńskich uważać należy za przypieczętowany. Nie jest to bynajmniej regularny odwrót, lecz ucieczka w popłochu. Nieprzyjaciel nie może zdobyć ani chwili czasu na przyprowadzenie do porządku swoich sił. Bułgarzy ścigają z energią i wytrwałością wroga, który od dawna utracił wszelką inicyatywę i dziś na najkorzystniejszym terenie zupełnie niezdolnym jest do podjęcia próby jakiegokolwiek oporu".



Legiony na polu walki: Komenda sztabowego oddziału w czasie poobiedniej siesty.



Klęska Rumunii: Komendant armii bułgarskiej w Dobrudży, jenerał Jekow (XX) Za nim bułgarski następca tronu Borys (X).

Wobec takiego wyniku walki w Dobrudży w stolicy Rumunii zapanowała panika. Oszołomieni i upojeni początkowemi zwycięstwami mieszkańcy stolicy rumuńskiej wylegli gromadnie na bulwar Elżbiety, oczekując nowych upojeń.

Nagle w godzinach popołudniowych rozległa się lotem strzały nieoczekiwana i straszliwa wieść o klęsce. Wygląd miasta zmienił się natychmiast. Ty-

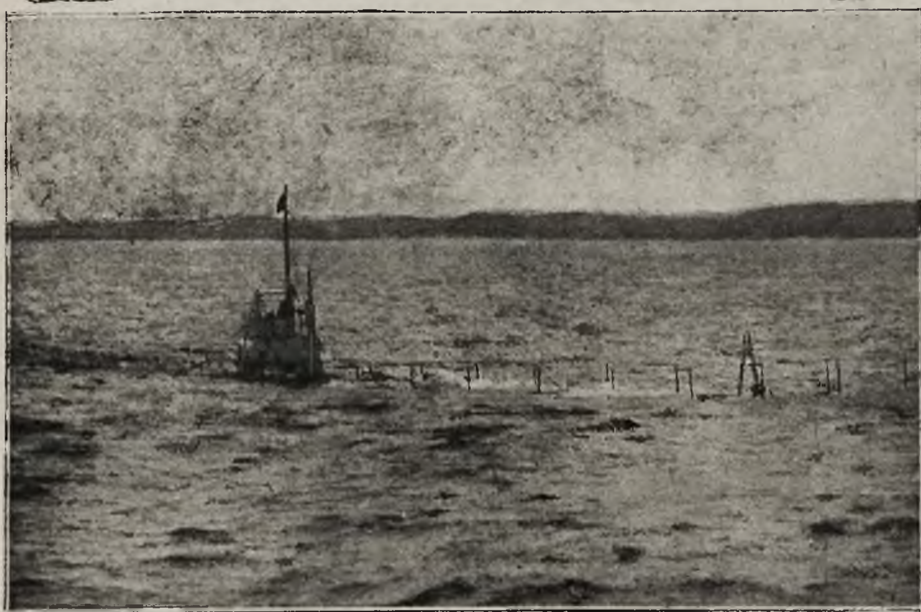


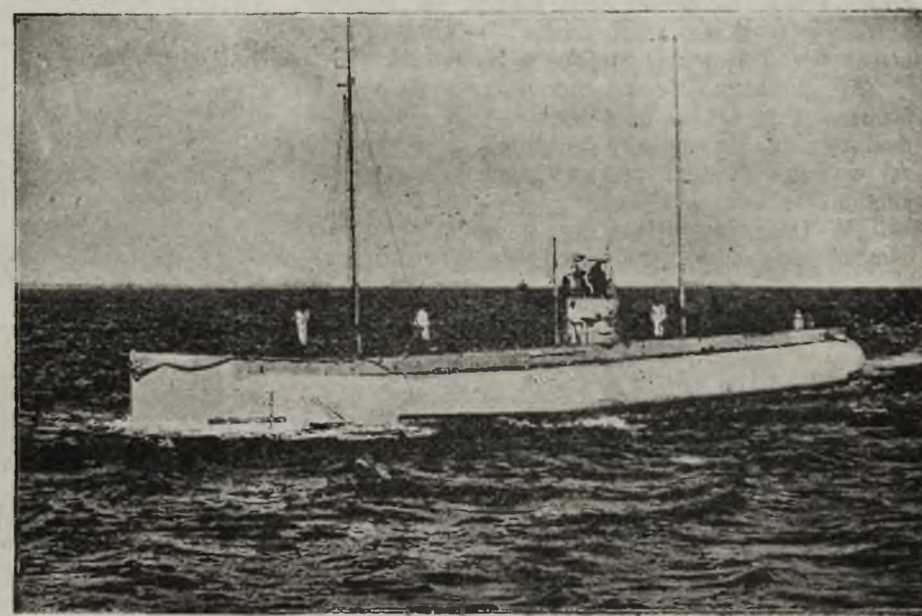
Odznaczenie Krakowianina: Kapitan-audytor Józef Holly, naczelnik c. i k. sądu komendy obwodowej w Hrubieszowie w gronie tamtejszych audytorów.



Legiony na polu walki: Roboty przy drugiej linii obronnej. W dali wzgórze brygadyerów (dawniej wzgórze Norwida — „cota 182"). (Fot. Leg. Maysenhalter).

siączne tłumy zebrały się przed dworcem kolejowym. Masy rąk wyciągały się przed okienko kasy kolejowej, aby wykupić bilety na pociągi wieczorne, idące w kierunku północnym. Pociągi, przybywające z południa z niezliczonymi uchodźcami, rozszerzały jeszcze bardziej panikę, przynosząc straszną wieść o zwycięskim marszu nieprzyjaciela i o zatonięciu całych mas rumuńskich wojsk w wodach Dunaju. Nastrój nerwowy podniósł się do punktu kulminacyjnego. Cała wściekłość wzburzonego tłumu zwróciła się przeciw oficerom. Wielu z nich padło ofiarą zawiedzionego w swych nadziejach narodu.





Peryskop płynącego pod wodą „Deutschlandu". **Żegluga podwodna:** „Deutschland" w czasie podróży na powierzchni morza.

Odznaczenie Krakowianina.

Z chwilą okupacyi Królestwa Polskiego przez władze austryackie zaprowadzono też wszędzie austryacką administracyę, podległą Jeneralnej Komendzie armii. Jedną z głównych jej gałęzi jest sądownictwo, które początkowo spoczywało wyłącznie w rękach wojskowości. Przy każdej komendzie obwodowej utworzono sąd, w skład którego wchodzili audytorzy i przydzieleni sędziowie ze stanu cywilnego. Sąd ten do pewnego czasu rozstrzygał wszelkie sprawy tak osób należących do armii, jak i miejscowej ludności cywilnej.

Po pewnym okresie czasu, gdy stosunki już się w ten sposób ułożyły, że na zajętym terenie można było wprowadzić pewien rodzaj samorządu, dla spraw ludności cywilnej utworzono specyalne sądy pokoju, przydzielając im odpowiedni zakres działania, sądy przy komendach okręgowych posiadają odtąd charakter czysto wojskowy. Do kompetencyi ich należą w czasie wojennym także pewne zbrodnie, popełnione przez ludność cywilną.

Wogóle przyznać trzeba, że zaprowadzenie sądownictwa na modłę więcej europejską, niż to było za czasów rosyjskich, przyczyniło się wielce do wzbudzenia zaufania względem nowych przybyszów, co zaś najważniejsze, do uspokojenia i częściowego już wytępienia bandytyzmu, będącego dotąd postrachem miejscowej ludności.

Sędziowie austryaccy, tak wojskowi, jak i ze stanu cywilnego, mieli wiele pracy, nim udało im się do tego doprowadzić, bez wyjątku wszyscy położyli też na tem polu niespożyte wprost zasługi. Władza przełożona umiała je ocenić, przedstawiciele sądownictwa w Królestwie Polskiem otrzymali też cały szereg wysokich odznaczeń.

Jednym z nich, ozdobionym krzyżem rycerskim orderu Franciszka Józefa z dekoracyą wojenną, jest naczelnik sądu komendy obwodowej w Hrubieszowie, kapitan audytor Józef Holly, znany i ceniony w Krakowie, gdzie, po wystąpieniu z armii, pracował jako urzędnik konceptowy w magistracie. Po wybuchu wojny, powołany jako kapitan audytor do służby w Królestwie Polskiem, rozwinął bardzo dodatnią działalność w Radomiu, gdzie był poprzednio naczelnikiem sądu komendy obwodowej i pobyt swój zaznaczył wysoce obywatelskiem pojmowaniem swych ciężkich obowiązków. Żegnano go też serdecznie, gdy opuszczał Radom, przeniesiony w tym samym charakterze do Hrubieszowa.



Żegluga podwodna: Szkielet „Deutschlandu".

JÓZEF DŁUGOŁĘCKI.

POLSKA... BĘDZIE!...

Cień cmentarnych drzew otulał co dnia jej srebrzystą głowę.

Szemrał cmentarz, w dal unosząc staruszeczki dziwną mowę, co nie w słowach, lecz w warg szepcie całą treść swą zawierała; treść tysiącem łez ciężarną...

Cmentarz pusty.

Ona trwała na swych lubych mogił straży.

To westchnieniem ciężkiem rzuci, to znów, zda się, marzy... marzy...

Marzy o tem, co... nie wróci! Co się jawą już nie stanie, co mirażem tylko wskrześnie w marzeń starczych szarej fali.

W marzeń fali, albo — we śnie.

Późną zawsze już godziną przerywała smutne czaty nad mieszkaniem tych, co poszli w inne, pono lepsze światy.

A odchodząc jeszcze rzuca łzą zamglonem w tył spojrzeniem; jeszcze żegna swe mogiły modłów szeptem i westchnieniem.

Potem w chustę otulona, stąpa wolno, pełna troski, tam, gdzie chałup rząd się bieli — do rodzinnej swojej wioski, aby wrócić tu znów jutro, z umarłymi wieść rozmowę, nad zielonych mogił wieńcem smutnie starczą zwiesić głowę i tak dumać... dumać... dumać... wyczekując chwili zgonu, co połączy ją z drogimi tam... u Stwórcy świata tronu.

— — — — — — — — — — — —

Raz, gdy taka zadumana nad swych mogił rzędem siedzi, pytam:

— Matko, czemu twoje serce tak się co dnia biedzi? Kogóż macie tu drogiego, że twa starcza ócz powieka nad tych mogił cichych wieńcem co dzień nową łzą ocieka?

Drgnęła.

Chwilę dłuższą wcale nie wyrzekła ani słowa.

Tylko rytmem modlitewnym starcza się kołysze głowa, tylko wyschła pierś faluje, jakby łkanie stłumić chciała.

Wreszcie zwiędłą twarz podniosła i — te słowa powiedziała:

— Kogo mam tu? — pan się pyta — Tu, w mogilnej świętej ziemi? Trudno, panie, odpowiedzieć na to słowy, ot! — ludzkiemi.

Ani takiej niema mowy, ani takich niemasz dźwięków, coby z serca mego cierpień, coby z duszy mojej jęków mogły złożyć ci odpowiedź na bolesne twe pytanie... Kogo mam tu — pytasz?... Synów! Trójca ich tu leży, panie!...

— Trójca!... — z mocą powtórzyła i... zwiesiła głowę siwą, jakby dalej w myśli snuła smutnych uczuć swych przędziwo.

— — — — — — — — — — — —

Szumią drzewa.

Wiatr rozwiewa siwych włosów kosmyk rzadki, a ja, milcząc, rozwiązania czekam dziwnej tej zagadki, co się zębem srogim wżarła w mej staruszki głębię serca; co się niby sztylet ostry bezlitośnie w mózg jej wwierca.

Po zradlonem widzę czole, jak ze sobą walkę toczy...

Mówią mi to — powiek drgania i jej smutne, łzawe oczy; mówi piersi jęk stłumiony, co staruszki wstrząsa ciałem.

Nie wiem, jak się zdarzyć mogło, że sam nad nią nie załkałem, taki bowiem ból się odbił na jej zmiętej życiem twarzy, jaki rzadko na obrazach świętych się nam widzieć zdarzy.

Wreszcie zwolna, drżącym głosem, co akcentem słów się łzawi, wzrok swój na mnie obróciwszy, staruszeczka moja prawi:

— Miałam synów trzech... i dobre, panie, były z nich chłopaki. Na pociechę moją rosły. Nie skrzywdziły ni sobaki! Takie bo już u nich serce było miękkie, kochające! Ale... w głowach im huczały nie chłopięce myśli! Wrzące żądzą sławy, żądzą czynu, co ze światem chyba zginie!

Gdy czytali o Kościuszce (książek mieli pełne skrzynie), to rumieńcem się zlewały miłe synów mych buziaki. Zapał ogniem tryskał z oczu...

Takie były to chłopaki!

Już gdy byli ot, tycieńcy! — dobry panie — to pytali:

Mamo, czy my pójdziem kiedy tak. jak ongiś, bić Moskali? Kiedy, mamo, to nastąpi? Ty nam iść pozwolisz przecie!

Ktoby się to zastanawiał co tam chłopię takie plecie.

Któżby myślał, że... że kiedyś tych chłopięcych głów marzenia wielki czas, co przyjść miał, panie, w rzeczywistość pozamienia?

Ze mi ich wypędzi z domu?

Ze odlecą niby ptaki — hen! Na boje z Moskwą, panie; na rycerskie krwawe szlaki!

Któżby myślał?...

— — — — — — — — — — — —

Znów umilkła.

Znów po modrej nieb roztoczy, kędy promień słońca igra, wypłakane zwraca oczy, jakby goniąc za mirażem bezpowrotnych już rozkoszy.

Uśmiech zawisł na jej ustach.

Rzeczywistość wnet go spłoszy, gdy opuści wzrok ku ziemi czarnej smutkiem, bólem krwawej...

— — — — — — — — — — — —

— Kiedyś — znowu się ozwała — wejdziem, mamo, do — Warszawy! By na zamku, gdzie królowie nasi przecie ongi żyli, wolnej Polski zatknąć sztandar...

Oto tak mi wciąż prawili.

Nie przeczyłam, anim chciała ich fantazyi włożyć pęta.

Przecież usty ich mówiła do mnie Polska nasza święta.

Nie wiedziałam w onej chwili, że już wyrok jest pisany...

Ze trzy skarby moje pójdą z Moskwicinem w krwawe tany...

I że żaden z nich nie wróci. Żaden! Żaden! — dobry panie!

Ze na stare swoje lata człek, jak palec, sam ostanie...

Sam!...

— — — — — — — — — — — —

Załkała.

Tylko drzew szum skargi echem w niebo miota.

Srebrną głowę słońce dziwnie w swych promieni siatkę mota, jakby chciało ból ugłaskać, co rozsadza piersi, skronie...

Zda się wiejski cmentarz cały w krwawym matki smutku tonie.

— — — — — — — — — — — —

— Przyszła wojna — prawić pocznie, odzyskawszy władzę mowy. — Nie powstrzymać przeznaczenia!

Zapłonęły młode głowy!

Uderzyły młode serca...

— Mamo, Polska na bój wzywa!...

Tak się młode pisklę z gniazda na świat Boży — hen! — wyrywa, śmiałych popróbować lotów.

— Poszli?

— Poszli, dobry panie! Ani chciałam ich powstrzymać. Polski świętej szło wołanie po wszej ziemi.

Wyjrzę na świat — tem wołaniem szumią drzewa...

Spojrzę w górę, a tu, panie — tem wołaniem ptaszę śpiewa...

Tem wołaniem szepce trawa, co u moich nóg się ściele...

Poszli... poszli, dobry panie!

Poszli kieby na wesele!

Spojrzę na nich trwożna, panie, a ich twarze promienieją... a ich oczy ogniem błyszczą — wiary ogniem i nadzieją.

— Będzie Polska... — mówią — Będzie! Przez nas z grobu ona wstanie...

Tak się oto w młodych duszach odezwało to wołanie, co płynęło z Wisły falą... z szmerem lasów... z szumem borów...

Cała Polska była, panie, pełna takich rozhoworów.

Jakże było ich powstrzymać? Błogosławieństw nie dać znaku?...

Poszli!

Poszła trójca cała na bojowym stanąć szlaku.

Jak dziś widzę ich w szeregu, gdy na boje już szli krwawe.

Legionistów na nich mundur.

Pieśń grzmi:

„Idziem na Warszawę!“...

Pocałunki mi ostatnie rąk swych giestem odesłali.

Tuman kurzu ich otoczył i — zniknęli w szarej dali.

— — — — — — — — — — — —

— Czasem „Feldpost“ mi przysyłała od nich kartkę.

Starszy pisze:

...„Mamo, wczoraj do ataku szliśmy. Dzisiaj jeszcze słyszę ten huragan dział okropny, w którym głos człowieka ginie. Już w rosyjskich my okopach! Krew strumieniem tutaj płynie. My są zdrowi“...

To znów młodszy o pochwale mi donosi, którą dała mu komenda i o słówek kilka prosi.

To najmłodszy upomina, bym się, panie, nie martwiła.

— „Szczęśliw legnę, jeśli za to, mamo — Polska będzie żyła!“...

Potem...

Słuch zaginął o nich.

Ileż strachu — ile trwogi!...

Przyszły wieści o odwrocie...

Ten... ów... mówi:

— Idą wrogi!

— Już Moskali fala wielka na kraj nasz potokiem spada...

Ze kościoły w gruz się walą...

O zwycięstwach nikt nie gada...

To, co ludzie powiadali, wnet się przecie stało jawą. Moskal był tu u nas, panie, nie zaś nasi pod — Warszawą...

— Byli tutaj?

— Byli, panie! Ludzie kładli się pokotem, niby kłosy sierpem zżęte! Tu... przed samym już odwrotem słyszę — Legion odwrót kryje...

Wielki Boże!

Trwogą zdjęta pędzę w ognia piekło wrzące, tam — gdzie walczą me orlęta.

Nic mnie wstrzymać już nie zdoła...

Ani pikiet „stój“ wołanie, ani dzikie kul poświsty...

Jak szalona biegnę, panie.

Nagle... w dymem mrocznej dali — gdy to wspomnę dech zamiera! — widzę — naszych...

Garstka mała atak w oczach mych odpiera!

Sercem matki odgaduję, że tam są synkowie moi!

Jeszcze dziś ten obraz, panie, w oczach zjawą straszną stoi.

Patrzę...

Biedz już nie mam siły... Krzyk się z piersi mej wydziera... A tam garstka chłopiąt naszych walczy mężnie i — umiera...

Na nic męstwo...

Na nic wściekła chęć wrogowi stawić czoło...

Już Moskali zgraja dzika zatoczyła wielkie koło i ujęła ich w swe kleszcze...

Jeden pada...

Drugi pada...

Chwila...

Już na Moskwy ogień żaden z nich nie odpowiada, jeno bagnet w rękach błyska, ognie nieci...

Już się zwarli!

Tak w uścisku wściekłym z wrogiem śmierć zadając — sami marli.

Potem...

Nic już nie widziałam...

Sen mnie objął chorobliwy, długi... Tłukły się po głowie mary jakieś straszne, dziwy...

Ludzie tylko powiedzieli, gdym się z łoża zwlokła, pewnie, że...

Te oto trzy mogiły kończą me opowiadanie.

Jeśli grobów tych wymowa, polskich matek ból serdeczny wskrzesi Polskę... ha! — to powiem...

— Bądź pochwalon Boże wieczny!

Jeśli zasię... nie...

— — — — — — — — — — — —

Urwała — niby ptak wstrzymany w pędzie... Ale usta jej szeptały:

— Polska wolna będzie... będzie!...

JÓZEF LABOŃ.

LEGIONY NA WOŁYNIU.

Fragmenta.

ORDYNANS.

Wykrzywił usta grymasem, podaną manierkę uchwycił w ręce, wąchając skwapliwie jej zawartość. Wyłysiałe czoło pokrzywiło się zmarszczkami, niebieskie figlarne oczy z podełba patrzyły na kolegów, czy znów nie zamierzają jakiegoś figlika.

— Pij szwagier — odezwał się jeden z żołnierzy — prawdziwy rum Amajka!

— Rumicus, globicus, aspirantus! — odezwał się ordynans, z zadowoleniem kosztując zawartość manierki.

— Pij szwagier, a wesoło mów — upomniał drugi, leżący już na łóżku, zbitym z prętów brzozowych, stojącym w rogu ziemianki.

Zwano ordynansa adjutanta pospolicie „szwagrem". Właściwie w chwilach wesołych, do czego przyczyniał się w dużej mierze słynny Karpatczyków napój — rum, ordynans tytułował każdego żołnierza, ba, nawet i szarżę podoficerską, z którą pozostawał w dobrych stosunkach, szwagrem. Odwzajemniali mu się i stąd co drugi w batalionie pozostał szwagrem ordynansa.

wiczny temat do nabierania ordynansa, tembardziej, że sprawa była sporną, rozchodziło się o stanowczy sąd, kto właściwie podówczas się odznaczył: rum, czy ordynans!

Zdania słuchaczy były podzielone, jedni przypisywali zasługi samemu rumowi, drudzy po części ordynansowi.

— No szwagier, jak tam z tem rumem — zagadnął ordynansa meldunkowy batalionu, szczery przyjaciel jego, podniecający go do wesołości.

— Z rumem, no to stara sprawa!? — odrzekł ordynans niechętnie!

— Gadaj szwagier!

— Oddej rum! — gorętsi poczęli wykrzykiwać, zawiedzeni w swoich nadziejach.

— Chcecie, to rznę — odrzekł po chwili — tylko zastrzegam się, że to już ostatni raz!

— Aż do zupełnego wyjaśnienia sprawy! — roześmiał się meldunkowy, spoglądając chytrze na ordynansa.

— Znaliście podporucznika Tał.? — zapytał „szwagier" zapalając papierosa i otaczając się kłębami dymu.

— Znamy! Znamy!

— Otóż ja byłem jego ordynansem!

— Wiemy! Wiemy! Szczególniej od plecaka i walizki.

— Dobry to był chłop, tylko narwany czasami.

— Jaki pan, taki i ordynans — roześmiano się w około.

— Otóż — mówił dalej ordynans, nie zważając na śmiechy kolegów — pod Bielgowem były to ciężkie chwile i razem z podporucznikiem byłem

dant kompanii, wysyła meldunek do łączących z nami Niemców o sytuacyi, z zawezwaniem pomocy. — Pierwszy żołnierz, posłany z meldunkiem, w oczach naszych zginął, gdyż trzeba było przez odsłonięty teren się przedzierać, przez bagna, pod wzrokiem nieprzyjaciela, który zasypywał salwami każdego śmiałka, usiłującego przepełzać do skrzydła, obsadzonego przez Niemców.

Drugi żołnierz, posłany z meldunkiem, wrócił ranny, trzeci został zabity, wreszcie słyszę, jak podporucznik mówi:

— Gdzie ordynans mój, on to wykona!

Dusza usiadła mi na ramieniu. To już trzech nie dało rady, cóż ja sam poradzę. Ale podporucznik krzyknął na mnie ost o, wziąłem karabin i meldunek i zacząłem się przedzierać do Niemców. Użyłem strachu nie mało, uwalałem się w bagnie jak nietoperz, wreszcie dotarłem do Niemców. Oddając ten ważny meldunek, dostałem na pokrzepienie w nagrodę manierkę rumu...

— Którą natychmiast wypiłem — kończy zdanie meldunkowy, śmiejąc się z ordynansa.

— Cicho! — zgromił szwagier.

— Wracam tedy z powrotem, a tu już wielkie zamieszanie. Okopy prawie że puste, przed zasiekami Moskale.

— Gdzie podporucznik? — pytam cofających się.

— Przed okopami ranny — odpowiedzieli.

Wpadłem do okopów, patrzę zostawiony karabin maszynowy, właściwie spodnia część. Wywlokłem plecak podporucznika, tę część karabinu maszynowego i rozglądam się za podporucznikiem. Leżał





Czterdziestka przeszła, a mimo dwuletniej wojaczki, ordynans nie tracił nigdy humoru, rozweselając kolegów. Był to mazur z krwi i kości, natura dobra, otwarta, lubiąca szczególnie wesołość pod wpływem rumu, któremu nadał nazwę: „rumicus-globicus-aspirantus".

Twarz cokolwiek pociągła, z ryżowym zarostem, lekko przyczerwieniona, nabierała podczas podniecenia alkoholem krwistych wypieków, krzywiła się komicznie przy każdym wypowiedzianym słowie.

Nie ma tu mowy o jakiemś upijaniu się peryodycznem, lubił od czasu do czasu pociągnąć z manierki, aby — jak zazwyczaj twierdził, nabrać ochoty do mówienia.

Usłużny, pilny w wykonaniu obowiązków, mimo pozornej rubaszności zjednywał sobie prędko serca przełożonych i kolegów. Tam, gdzie zawitał wieczorem, w chwilach wolnych, szwagier, zaludniało się, ożywiało od śmiechów, gwaru, życia.

— Szwagier na zdrowie — przypijają do niego, aby tylko zachęcić do opowiadania.

Z arystokratycznym gestem oddał próżną manierkę, podkręcił wąsa do góry, a rozpierając się na skrzyni od cukru, pociągnął wzrokiem po obecnych, nakazując ciszę.

— O czem chcecie, he?

— Cokolwiek!

— No, to zatem nic!

Czekał, ażeby go poproszono, poddano jakiś temat. Ulubionem jego opowiadaniem, były epizody pod Bielgowem, gdzie jako ordynans podporucznika Tał. rzekomo miał się odznaczyć, jednakże nie uznano jego zasług, czy też zapomniano i nie dostał odznaczenia. Historyę tę wprawdzie słyszeli obecni już nieraz, ale sposób opowiadania i komentarze objaśniające były tak komiczne, że stanowiły usta-

w okopie. Wysunąć nosa z okopu nie można było, a tu ni stąd, ni zowąd podporucznik wysyła mnie, abym dotarł do kuchni, przyniósł mu śniadanie. Droga odcięta ogniem, musiałem trzy razy przedzierać się po bagnach, ale gdzieby tam człowiek w takich razach mógł coś odznaleźć. Kucharze wsiąkli w ziemię, cóż miałem robić. Wracam tedy i mówię, że nie mogę znaleźć.

— Idź i przynieś! W Maniewiczach na stacyi stoją treny, tam mam plecak z tytoniem i prowiantami, przynieś to tutaj.

Nie dało się drogą iść, musiałem przedzierać się gąszczami, bagnami, pełzając, gdyż Moskale ze wszystkich stron bili salwami. Dopiero drugiego dnia dotarłem do Maniewicz, zabawiłem nie całą dobę zaledwie, a tu już za mną patrol, chce mnie aresztować, jako dezertera.

— Z czyjego rozkazu? — pytam się komendanta patroli.

— Z rozkazu podporucznika!

— Przecież on sam mnie tu wysłał!

— O niczem nie wiem, jazda w drogę!

Ano doszliśmy do okopów, a tu bitwa. Zmęczony, zirytowany tem wszystkiem melduję się podporucznikowi, że dziękuję za służbę ordynansa.

— To dostaniesz karabin i dwieście naboi i musisz nosić — mówi podporucznik.

— Nosiłem tyle czasu, będę nosił i dalej, ale ordynansem nie chcę być!

— No, zapal sobie papierosa! — odezwał się dobrotliwie podporucznik, chcąc mnie udobruchać.

Papierosa wziąłem, ale zameldowałem, że proszę o zmianę służby, a potem poszedłem za okopy i tam na słońcu się wylegiwać począłem. W okopach naszych wielki ruch, strzelanina ustawiczna, Moskale poczynali nas okrążać. Podporucznik, jako komen-

przy skrawku lasu, ranny w nogę. Podbiegłem do niego, przywitał mnie z radością i rzekł:

— Jesteś, no to mnie bierz!

Rozciągłem celtę, usadowiwszy podporucznika na niej, dowlokłem go do okopów, dołożyłem do celty część karabinu maszynowego i stamtąd jazda do Wołczka.

Kiedy już byliśmy w bezpiecznem miejscu, podporucznik polecił mi, abym mu zdjął buty, jednakże tak, aby nie urazić rany. Namęczyłem się niemało, wreszcie przyszli łapiduchy i zabrali na nosze podporucznika. Dopiero w szpitalu podziękował mi za wszystko i chciał zabrać ze sobą na „Hinterland", alem się nie zgodził. To wszystko pamiętam, jak przez sen, tylko tyle dokładnie wiem, że gdyby nie ta manierka rumu, nigdybym się nie zdobył na coś podobnego, zabrakłoby mi siły i odwagi do wykonania.

— Wobec tego rum był bohaterem — zaśmiali się słuchacze.

— Ano pewnie, że rum — odparł ordynans — ale sam rum nie zrobi niczego.

— Tak, jak i ordynans bez rumu! — zauważył złośliwie meldunkowy.

— Więc orzekamy — odezwał się jeden z żołnierzy — że rum za przyczyną ordynansa-szwagra stał się bohaterem!

— Ha, ha, ha! — rozległy się śmiechy wokoło.

— Śmiejcie się szelmy! — ordynans krzyknął — ale wy i z rumem tam nie poszlibyście!

Wszczęła się głośna dyskusya, zdania poczęły się ze sobą ścierać, naturalnie mające na celu wprowadzenie jak największej wesołości.

Ordynans odcinał się złośliwie, wreszcie uległ przemocy. Rozbawieni koledzy pochwycili go na

ręce, a podrzucając wysoko w górę, aż pod sufit ziemianki, darli się jak opętani:

— Niech żyje rum i szwagier-bohater.

Pozostał przydomek ten przy ordynansie, mimo, że służbę ordynansową dawno porzucił i jeśli wojnę przetrwa, opowieść ta nieraz jeszcze wszechstronnie zostanie rozpatrywaną, komentowaną:

Kto był wówczas bohaterem i odznaczył się: rum, czy ordynans, bo, jak sam twierdzi, bez rumu nie byłby nigdy na coś podobnego się zdobył.

Inna rzecz, że twierdzenie to więcej dla rozbawienia słuchaczów jest dodawane, niżeli brane w rachubę poważnie.

Pozostał ordynansowi przeto przydomek: „Rum-bohater!"





W kuźni. **Legiony na polu walki:** Transport kolumny piechoty kolejką wąskotorową.

Zgon polskiej pieśniarki.

Nieubłagana śmierć zbiera dziś obfite żniwo. Gdy tyle młodych istnień ginie na polach bitew, ubyła znów jedna z najzasłużeńszych pracowniczek, która całe swe życie poświęciła szerzeniu oświaty i uczuć narodowych wśród młodego pokolenia.

W Rabce zmarła nagle Jadwiga z Zubrzyckich Strokowa, znana autorka, pisząca pod pseudonimem Jadwigi z Łobzowa albo Jana Swierka.

Wiadomość o śmierci zasłużonej popularyzatorki oświaty i dziejów ojczystych wśród młodego pokolenia odbiła się echem szczerego żalu w szerokich kołach polskiego ogółu. Zmarła załugi te położyła nie tylko jako autorka i wydawczyni bardzo wielu broszur oświatowych, ale także jako nauczycielka i opiekunka dziatwy wiejskiej. Jedną z największych jej zasług była praca około założenia T. S. L., podejmowana z zapałem i poświęceniem w szczerem zrozumieniu podjętego zadania. Gorąca patryotka i działaczka pozostawia po sobie trwały pomnik nie tylko w czynie społecznym, jako współuczestnicząca w każdej pracy narodowej, ale także w olbrzymim dorobku prac literackich, powieści, powiastek i wierszy, przepojonych umiłowaniem ojczyzny. Imię ś. p. Strokowej przejdzie do potomności i piśmiennictwa, opromienione trwałą zasługą.

Z powodu zgonu ś. p. Jadwigi Strokowej II. Koło Pań T. S. L., którego założycielką była ś. p. zmarła, odbyło uroczyste posiedzenie. Przewodnicząca Koła p. Marya Siedlecka poświęciła zmarłej serdeczne wspomnienie, a celem trwałego uczczenia pamięci zasłużonej działaczki oświatowej uchwalił zarząd Koła pań założyć ochronkę imienia Jadwigi Strokowej na Zakrzówku w Krakowie.

Pogrzeb ś. p. Jadwigi z Łobzowa, którą pochowano na cmentarzu w Rabce, stał się też poważną manifestacyą żałobną nad grobem zasłużonej pieśniarki ludowej. — W smutnym obrzędzie pogrzebowym wzięły udział tłumy kuracyuszów, dziatwa szkolna rabczańska oraz miejscowe nauczycielstwo.

W czasie żałobnego nabożeństwa w kościele parafialnym śpiewał chór Legionistów, a wikaryusz ks. Surowiak w serdecznych słowach skreślił owocną dla ludu polskiego pracę zgasłej pieśniarki. Po nabożeństwie ruszył liczny żałobny orszak na cmentarz miejscowy; trumnę nieśli Legioniści polscy, otoczeni szpalerem dziatwy szkolnej.

Nad otwartym grobem przemówił imieniem głównego zarządu T. S. L., p. Szczęsny Turowski, żegnając ś. p. Jadwigę z Łobzowa za jej niestrudzoną pracę nad rozbudzeniem uczuć narodowych wśród ludu polskiego, który gorąco ukochała, oraz za zasługi, położone około rozwoju T. S. L. Imieniem Ligi kobiet przemówiła p. Helena d'Abancourt, wyrażając głęboki żal po zmarłej zasłużonej działaczce.

Na trumnie ś. p. Jadwigi z Łobzowa złożono



Legiony na polu walki: Pogrzeb Legionisty na cmentarzu polowym. (Fot. chor. Dunaj, C. B. W. — N. K. N.)





Odpoczynek w marszu. **Legiony na polu walki:** Koryto „krwawego“ Stochodu.

szereg wieńców, między innymi od Koła T. S. L. w Rabce, od teatru włościańskiego i Ligi kobiet



Zgon polskiej pieśniarki: S. p. Jadwiga z Zubrzyckich Strokowa.

w Rabce, wreszcie od dziatwy rabczańskiej z napisem: „Polskiej pieśniarce — wdzięczne dzieci polskie“.

Tłumny udział publiczności w pogrzebie ś. p. Jadwigi Strokowej był serdecznym wyrazem hołdu



Legiony na polu walki: Telefon polowy. (C. B. W. — N. K. N.)

dla niezwykłych zasług zmarłej pieśniarki na polu ludowego piśmiennictwa polskiego. Cześć jej pamięci!

Legiony na polu walki.

W poprzednim numerze pisaliśmy już pokrótce o walkach Legionów nad Stochodem, który stał się nowym laurem ich chwały. Zamieszczając w dzisiejszym numerze szereg nowych zdjęć z pola walki Legionistów, podajemy jednocześnie interesujący opis bojów, stoczonych nad Stochodem. W burzliwych zapasach sierpniowych z niezwykłem bohaterstwem walczyły Legiony polskie, a między nimi szósty pułk piechoty, który niemało przyczynił się do utrzymania najważniejszych pozycyi i zyskał sobie swem męstwem wiele wysokich pochwał i odznaczeń. Dzielny pułk Norwida nie tylko odparł





Kazanie kapelana przed bitwą. **Legiony na polu walki:** Przejście Legionistów przez most na Stochodzie. (C. B. W. — N. K. N.)

wszystkie moskiewskie ataki na swój skierowane front, nie tylko gwałtowny ogień bateryi rosyjskich w świeżych, marnych wytrzymał okopach — ale nadto innym, chwiejącym się oddziałom pospieszył z pomocą i w łączności z siłami rezerwowemi innych pułków — wyparł nieprzyjaciela z okopów, w które i zapuszczają się coraz głębiej ku pozycyom rosyjskim, przyprowadzając z sobą niejednokrotnie jeńców, zadając nieprzyjacielowi straty i niszcząc jego okopowe roboty. Odznaczyli się w tych wyprawach na przedpole liczni oficerowie szóstacy, jak podporucznik Strózik i podporucznik Ocetkiewicz, oraz chorąży artylerya, która czasami i za dnia jest czynną, odzywa się ponurym grzmotem, wyśpiewując jakąś straszną pieśń zniszczenia i śmierci, błyski armatnie i olbrzymie ślepia reflektorów oświetlają niebo i ziemię... Różnokolorowe rakiety wzbijają się w niebo, świecą czas krótki, jak jakieś niedalekie gwiazdy,



Spragnieni Legioniści przy zakazanem źródle.



Artylerya.

Legiony na polu walki:

ten zdołał się wedrzeć. Była zaś, w czasie zaciekłej bitwy, stoczonej 3. sierpnia o posiadanie wzgórza brygadyerów (dawniej cota „182“) chwila decydująca, w której wiszące niebezpieczeństwo rosyjskiego tryumfu — odwrócił podpułkownik Norwid swoją przytomnością umysłu, zimną krwią i spokojną oceną krytycznej sytuacyi.

Wielka bitwa została wygrana, sąsiedztwo ze Stochodem utrzymane. Wydarzenia, które przyszły potem i które rozgrywają się dotąd — są tylko odgłosem minionych, krwawych walk. Po przedpolu przez kilkanaście dni i nocy z rzędu włóczyły się watahy rosyjskie, które przepędzone być musiały przez patrole legionowe. Dzisiaj nie są już one tak śmiałe, dzisiaj Legioniści stali się panami przedpola

Drojewski. Szósty pułk spotkały też z powodu dokonania wielu szczęśliwych wycieczek patrolowych — pochwały przełożonych komend.

Za dnia bywa często na linii spokój zupełny. Żołnierze, którzy — ubezpieczeni patrolami — pracują po nocach w pocie czoła nad wykończeniem silnych linii obronnych — śpią za dnia w swych ziemnych kryjówkach. Roboty okopowe za dnia spoczywają, ponieważ wychylić się nawet z rowów niepodobna. Do czapki położonej na okopie strzelają Moskale za dnia z karabinów, a często i armat. Z konieczności też na froncie dzień zamieniono na noc i naodwrót.

Cisza dnia na linii — znika z nastaniem nocy. Gdy ciemność zapadnie, ogień karabinowy nie ustaje,

poczem wypalają się i giną. Groźnie, ale majestatycznie i pięknie zarazem wygląda w nocy linia bojowa z pewnej odległości. Znaczą ją po niebie rakiety, które — gdy noc jest niespokojna i ciemna — podrzucane są często wzdłuż całej linii. Jak daleko oko ludzkie sięga, widać kolorowe, białe i niebieskie światła, wznoszące się ponad koronami drzew. Linia świateł — to front bojowy. W tym huku armat, grzechocie karabinów, w świetle reflektorów i rakiet — odczuwa się w każdej minucie, iż naprzeciw siebie stoją powaśnione narody, nzbrojone we wszystkne narzędzia mordu i pożogi, mające do dyspozycyi wszystkie środki wojowania i szarpiące sobie nawzajem swe ciała.

Wre mordercza walka i zbiera straszne żniwo



Legiony na polu walki: Na stacyi kolejki przed wyjazdem na pozycyę. (Fot chor Dunaj, C. B. W. — N. K. N.)



Obrazki wojenne: 15 kompania 20 pułku piechoty na froncie.



Legiony na polu walki: Telefoniści drugiej brygady Legionów w okopach.

śmierci... Pod wielkim, sosnowym krzyżem, na którym widnieje napis „Za Polskę“ — wyrosły w pobliżu „wzgórza brygadyerów“ — liczne mogiły naszych bohaterów. Na skraju lasu, pełnego olch i dębów — stoi to smutne cmentarzysko polskiego wojska, polana żałoby... — Żołnierze kwiatami polnemi mają groby towarzyszów broni, nie jeden z przechodzących na mogiłach klęka i szepce słowa cichej modlitwy do Boga za Polskę i dusze poległych... Pułkownik-brygadyer Haller w rozkazie, jaki wydał do oficerów i żołnierzy szóstego pułku, powiedział, iż te mogiły i krzyże nasze „znaczą granice państwa polskiego“. Ta polana żałoby, rozłożona nad wodami Stochodu — to jak pas graniczny oczekiwanej Polski. Obok — samotna mogiła sierżanta szóstego pułku Rudolfa Czarneckiego, który poległ jeszcze w lipcu i na innej wołyńskiej polanie został pochowany. — (Fotografię tego grobu zamieściliśmy w poprzednim numerze).

Groby polskie i krzyże. które wyrosły świeżo nad Stochodem, to nowa karta w historyi Legionów i naszych walk o wolność. Ku bagnistym brzegom tej rzeki płynie cześć dla pamięci poległych bohaterów, poczucie wartości bezcennej krwi polskiej, która tu w piachy i bagna wsiąkła i użyźniła tę naszą, dawną, polską ziemię.

Wystawa sztuki w Zakopanem.

Zakopane, w czasie obecnego sezonu mimo wojny niezmiernie ożywione, odznacza się w tym roku ruchem nie tylko turystycznym, ale także kulturalnym. W „letniej stolicy Polski“ letnikom, przeważnie z inteligencyi złożonym, nie brakuje tam rozrywek umysłowych, do jakich w wielkich miastach są przyzwyczajeni. Przedstawienia teatralne, koncerty najznakomitszych mistrzów, odczyty najwybitniejszych w Polsce prelegentów, wreszcie wystawy dzieł sztuki świadczą, że życie umysłowe i artystyczne bije w zakopiańskiem środowisku żywem tętnem.



Wśród huku armat: Prowizoryczna pralnia Legionistów za linią bojową

(C. B. W. — N. K. N.)

Wystaw dzieł sztuki miało Zakopane w tym sezonie już dwie. — Obecnie, w dniu 3 września, odbyło się otwarcie w sali Bazaru krajowego trzeciej wystawy, tembardziej interesującej, że reprezentowane są na niej wszelkie prądy, wśród polskiej sztuki plastycznej, nowszej i dawnej, nurtujące. — Wystawiło na niej swe dzieła starsze i młodsze pokolenie, przedstawiciele różnych kierunków, więc obrazy J. Mehoffera, W. Weissa, J. Rembowskiego, Z. Pronaszki, W. Skoczylasa, St. Kamockiego, A. Pronaszki, T. Niesiołowskiego, St. Filipkiewicza, G. Gwozdeckiego, T. Czyżewskiego, W. Leonharda, A. Terleckiego, J. Witkiewicza, E. Zaka. Jedną z atrakcyj wystawy jest nieznany obraz Wyspiańskiego. Obok tego interesująco reprezentowaną jest rzeźba dziełami: Ks. Dunikowskiego, L. Pugeta, Z. Pronaszki (powszechną zwracający uwagę portret Żeromskiego), B. Pelczarskiego, J. Bohdanowicz Koncewskiej.



Legiony na polu walki: Oddział karabinów maszynowych w drodze na pozycyę



Wśród huku armat: Preferans w rezerwie trzeciego pułku p. Legionów polskich.

(C. B. W. — N. K. N.)

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

6

— Wstąp do mnie dziś jeszcze około piątej godziny wieczorem — rzekł mi na pożegnanie. — Mam nadzieję, że będę ci miał coś ciekawego do powiedzenia.

Stan umysłu mojego przyjaciela przestał mnie niepokoić; wiedziałem, że w chwili, kiedy ma ciężki jakiś problem do rozwiązania, umysłowa rozrywka może być tylko pożądaną dla niego. Wyszedłem więc z jego gabinetu, pewny, że wieczorem zastanę go w jak najlepszym nastroju, pełnym zwykłej mu energii i z ustalonym już całkowicie planem dalszej akcyi.

Kiedy o godzinie piątej powróciłem do niego, zaledwie dostrzedz mogłem sylwetkę jego, wyłaniającą z gęstych oparów dymu zalegających pokój. Stanąłem na progu, ksztusząc się gwałtownie. Tharps podniósł głowę i roześmiał się głośno.

— Ah to ty! Synhamie! pozwalam ci na chwilę okno otworzyć, bo, jak widzę, dym z moich papierosów źle działa na twoje płuca.

Nie kazałem sobie dwa razy powtarzać tej nęcącej propozycyi i szybko pobiegłem do okna, roztwierając je szeroko.

Kiedy atmosfera pokoju stała się możliwsza do zniesienia, usiadłem przy biurku naprzeciw Wiliama i spojrzałem na niego z ciekawością.

Zwykły, ironiczny uśmiech błąkał się na jego ustach. Nie podnosząc na mnie wzroku, podał mi kilka ćwiartek papieru rozrzuconych na biurku, pokrytych spiesznem, nerwowem pismem.

— Popatrz tylko, jak dzielnie pracowałem przez ten czas — rzekł z zadowoleniem ucznia, który ukończył trudne szkolne zadanie.

— Rzeczywiście, udało ci się to — odparłem przejrzawszy pośpiesznie jego pracę. Ale sądzę, że obecnie zajmuje cię jeszcze coś innego. Ody łacińskiego poety mogą zachwycić mnie, przyznaję, ale nie teraz, kiedy myśl moja bez przerwy zaprzątnięta jest tą przeklętą sprawą.

Tharps przeciągnął się i ziewnął szeroko.

— Koniecznie więc każesz mi o tem mówić — zapytał uśmiechając się.

— Koniecznie.

— No to wiedz, że otrzymałem przed pół godziną notatkę jakąś, od jednego z moich ajentów i przejrzałem ją zaledwie.

Chwilę szukał na biurku owej notatki i rzucił mi ją niedbale.

— Ależ, Wiliamie — zawołałem, przeczytawszy sprawozdanie ajenta — ten papier zawiera wiele interesujących szczegółów. Jeżeli naprawdę pierścień, ukradziony panu d' Orvald, jest tym samym, o którym wzmiankuje twój ajent, łatwo teraz wpadniesz na trop bandytów.

— Za godzinę będę co do tego upewniony, przed tym terminem wszelka dyskusya na ten temat jest bezużyteczna.

Ruchem ręki wskazał mi świeżo rozciętą książkę leżącą na biurku.

Patrzno — Synhamie — dodał — To ci pomoże do przetrwania tej godziny w spokoju. Jest to ostatnia praca Kiplinga. Sądzę, że cię zainteresuje.

W milczeniu poszedłem za jego radą i sięgnąłem po książkę, on zaś zapalił nowego papierosa i zaciągnął się głęboko.

Byłem trochę podrażniony tem wystąpieniem Tharpsa i przymuszałem się do skoncentrowania uwagi na książkę trzymaną w ręku, kiedy po dziesięciu minutach może ostry dźwięk dzwonka telefonicznego zbudził mojego przyjaciela z zamyślenia, w którem się zagłębił.

Podszedł bez pośpiechu do aparatu i podjął słuchawkę. Długą chwilę słuchał w milczeniu, nie przerywając mówiącemu, w końcu rzucił kilka słów niezrozumiałych dla mnie, słuchawkę odrzucił i powrócił na dawne miejsce.

Mimowoli podniosłem oczy z nad książki i spojrzałem na niego.

Żałuje mocno, że muszę przerwać czytanie twoje zaledwie rozpoczęte — rzekł uśmiechając się. — Ale chwila działania nadeszła dla nas. Za chwilę staniemy oko w oko z naszymi przeciwnikami.

Pomimo, iż słowa te wymówione były w żartobliwy sposób, zrozumiałem, że rzeczywiście chodzi o rzecz poważną.

— Zabierasz mnie ze sobą — prawda? — Zapytałem.

Tharps uderzył mnie przyjacielsko po ramieniu.

— Szczególne pytanie, mój kochany. Czyż to nie jest już od dawna w naszym zwyczaju pracować razem?

Wiem, że jesteś odważny i energiczny, jednak muszę cię uprzedzić, że sam nie wiem jeszcze, z jakimi ludźmi będziemy mieli do czynienia. Bardzo być może, że wyprawa nasza połączona będzie z różnemi niebezpieczeństwami, albo przynajmniej niezwykłemi niespodziankami. Sam rozsądź więc, mój Synhamie, czy w podobnych okolicznościach możesz mi towarzyszyć.

— Żartujesz chyba ze mnie, Wiliamie! Czy nie widzisz, że czekałem z niecierpliwością na tę chwilę?

— I cobądź się z nami stanie, nie będziesz miał żalu do mnie?

— Nie odpowiadam ci nawet na tak niedorzeczne pytanie.

— Synhamie, pamiętaj, że uzbroić się musisz w porządną dozę zimnej krwi i odwagi...

— Nie nudź mnie dłużej, mój drogi i ruszajmy w drogę.

— Bez broni?

— Oh! nie! Przygotowałem się należycie.

Mówiąc to, wyjąłem z kieszeni dwa nabite rewolwery i tryumfująco pokazałem je Tharpsowi!

— A! To mi się podoba! — zawołał — Wobec tego zabieram cię ze sobą!

— Wiliamie! — zahazardowałem — powiedz mi proszę, czy odebrałeś jakieś ważne wiadomości?

— Nie tak ważne, jak ci się może wydaje.

Policya wpadła już na ślad profesora Schoettena i markiza da Santa Cruza, ale czy to jest całkiem pewne, tego nie wiem. W każdym razie nie zaprowadzi ich to bardzo daleko i gdyby nawet odnaleźli miejsce pobytu jednego z tych panów — mniej wiedzieć będą odemnie. — Nie chcę od nich żadnej pomocy, ale obawiam się, że gorliwością swoją i nieobliczalnem działaniem, mogą popsuć moje plany i zamysły.

Chodź teraz do mojego gabinetu — dodał pociągając mnie za rękę. — Muszę się przygotować do naszej wycieczki.

Usiadłem wygodnie na bujającym fotelu, podczas kiedy Tharps przebierał się szybko i kończył rozpoczętą ze mną rozmowę.

— Tak, jak ci już mówiłem, cała ważność mojego śledztwa polega na tym tajemniczym pierścieniu pana d' Orvalda. — Reszta to drobiazgi nieznaczące. — Skierowałem więc poszukiwania moich ajentów w tym kierunku i jeden z nich właśnie doniósł mi przed chwilą o wykryciu pewnego śladu, który jak mi się zdaje, może być prawdziwym.

— Cóż to takiego? — zapytałem zaciekawiony.

— Przypominasz sobie zapewne o włamaniu, dokonanem kilka miesięcy temu u majora Shurtey, w Londynie?

— Czy to była ta sprawa poruczona Archerowi, który prosił cię o radę i wskazówki?

— Ta sama. Nie mogłem wówczas uczynić tej przysługi temu poczciwemu chłopcu, z tej prostej przyczyny, że listy jego doszły mnie zapóźno.

Bawiłem wówczas na Węgrzech.

Major Shurtey powracał w tym czasie z Indyi, na dłuższy odpoczynek. Podczas jego pobytu w Szkocyi nie wykryta banda jakaś włamała się do jego willi na Churchill Street. Znajdował się tam cenny zbiór indyjskiej broni, meble, kosztowności, kamienie wartościowe — prawdziwe muzeum.

To wszystko zostało zdewastowane przez tych bandytów. Po jakimś czasie odnaleziono w Paryżu kilka przedmiotów, będących własnością majora Shurtey'a. Kto wie, czy pomiędzy nimi nie było tego pierścienia? Ajent Huxley, który telefonował przed chwilą, twierdzi, że tak rzeczywiście się stało.

— Czy to jest pewny człowiek?

— Jeden z najlepszych moich ajentów. Od kilku tygodni zajmuje się tą sprawą i wskazówki jego mogą być bardzo cenne.

— Ale jakim sposobem pierścień ten mógł się dostać do rąk pana d' Orvalda? Czy pomyślałeś nad tem, Wiliamie?

Tharps nie odpowiedział zaraz na moje pytanie. Stał przed lustrem i łapką zajęczą malował sobie policzek. Pochwyciłem jego tylko uśmiech tryumfujący.

— Jakim sposobem pierścień dostał się do rąk d' Orvalda? — powtórzył wolno — Wierz mi, Synhamie, to jest w tej chwili bez znaczenia dla mnie.

— Jak to? Bez znaczenia? — pochwyciłem — Przecież gdybyś wiedział od kogo pan d'Orvald pierścień nabył...

— To co? — przerwał mi lekceważąco — Bogaci, młodzi ludzie lubią nabywać cacka, nie pytając o ich pochodzenie. D' Orvald mógł nie wiedzieć, że drobiazg ten pochodzi z kradzieży. Zresztą zanim stał się jego własnością, przez ile rąk on przejść musiał. Ci zaś, którzy pierścień ukradli majorowi, nie wiedzieli może o szczególnej właściwości, jaką on posiadał — a dowiedziawszy się o niej później dopiero — w poszukiwaniach swoich dotarli aż do pana d'Orvalda.

— Przypuszczasz więc, jak widzę, że złodzieje pierścienia majora Shurtey'a, a mordercy d'Orvalda, to jedni i ci sami ludzie?

— Przypuszczenie to jest bardzo prawdopodobne — odparł Tharps.

Być może, że miał słuszność i że rzecz cała musiała być w ten sposób przeprowadzona — jednak uderzyła mnie myśl pewna, z którą natychmiast podzieliłem się z Tharpsem.

Bandyci, którzy w sposób tak odważny wcisnęli się do pensyonatu pani Donay, aby pochwycić pierścień, odcięli palec pana d' Orvalda. Widocznie więc pierścień był za mały i nie dał się zesunąć, co wskazywało, że właściciel jego musiał go już nosić czas dłuższy i od lat kilku może nie zdejmował go z ręki.

Jeżeli ta hypoteza była prawdziwą, niszczyła przypuszczenie Wiliama Tharpsa.

— Może masz słuszność — rzekł, kiedy wyłożyłem mu swoje rozumowanie. — Jedyną jednak rzeczą, która utwierdzić by mogła nasze przypuszczenie, to pewność, że pierścień d' Orvalda należał do zbioru majora. Huxley zdaje się być tego pewnym i opisał mi pierścień, jakgdyby go miał przed oczami.

Tharps ukończył już był swoją pracowitą charakteryzacyę i teraz podobny był do tych typowych i podejrzanych ptaszków, odwiedzających w nocnej porze bary i kawiarnie ostatniego rzędu.

— A teraz na ciebie kolej, Synhamie — rzekł odchodząc od lustra. — Czekaj! pomogę ci, bo sam nie dasz sobie rady.

Byłem przyzwyczajony, że ilekroć zabierał mnie ze sobą na nocną jakąś wycieczkę, charakteryzował mnie według swojego upodobania i fantazyi, usiadłem więc posłusznie i oddałem się do jego dyspozycyi.

W piętnaście minut później ujrzałem naprzeciw mnie w lustrze, indywiduum o odstraszającym wyglądzie, mętnych, wgłębionych oczach i rozczochranej brodzie.

— Rodzona matka by cię nie poznała — zaśmiał się Tharps, zadowolony ze swojej roboty. — Możemy teraz każdemu popatrzeć w oczy! Kończmy już naszą toaletę, bo szkoda czasu.

Kilka minut jeszcze ubiegło i wychodziliśmy tylnemi schodami, okryci w szerokie, ciemne płaszcze.

Skierowaliśmy się do Belleville, gdzie musieliśmy przejść zupełnie niespostrzeżenie. Szliśmy więc powolnym, ciężkim krokiem, z rękami wsuniętemi w kieszenie, podniósłszy wysoko kołnierze od płaszczów. Kto nas widział przechodzących, mógł być pewny, że ma przed sobą dwóch typowych wagabundów nocnych, którym lepiej nie wchodzić w drogę.

Po jakimś czasie wdrapaliśmy się na platformę jakiegoś omnibusu, roztrząsając trochę w przejściu siedzących.

Dwie kobiety, przy których usiedliśmy, cofnęły się na nasz widok, robiąc nam jak najwięcej miejsca.

Ten instynktowny ich przestrach wywołał uśmiech zadowolenia na twarzy Tharpsa.

— A co? — szepnął mi do ucha. — Wspaniałe muszą z nas być typy, skoro kobiety unikają nas!

Przytaknąłem tylko głową, bo nie byłem w usposobieniu do prowadzenia rozmowy. Zachowanie Tharpsa zdumiewało mnie, chociaż powinienem był już przyzwyczaić się do niego. Jak już raz nadmieniłem, Tharps należał do ludzi, którzy wielką uwagę zwracają na szczegóły i sam umiał stworzyć sylwetkę doskonałą, przez nagromadzenie właśnie podpatrzonych szczegółów, dla kogoś drugiego nie mających wartości. Patrzyłem teraz na niego z boku i zdawało mi się, że mam naprawdę obok siebie obcego jakiegoś człowieka, z którym mnie nic absolutnie łączyć nie może. To nie był Wiliam Tharps, sławny detektyw angielski, lecz jakieś podejrzane indywidyum, wahające się między zapijaczonym robotnikiem bez zajęcia, a apaszem, wybierającym się na nocne łowy.

Siedział na wysokiej ławce platformy z taką swobodą, jak gdyby to robił od lat najmłodszych i bezczelnym wzrokiem wodził po sąsiadach, puszczając im w twarze kłęby dymu z papierosa.

Opuściliśmy omnibus przy ostatniej stacyi, do której dojeżdżał — i po zejściu już wszystkich pasażerów — Tharps nawet zachowywał się tak

opieszale i swobodnie, iż doczekał się kilku niebardzo przyjemnych napomnień od zniecierpliwionego konduktora.

— Doskonale idzie! — zawołał — kiedy znaleźliśmy się nareszcie na chodniku. Ty tylko, Synhamie, nie bądź taki ponury i staraj się naśladować mnie we wszystkiem.

Mówiąc to, splunął energicznie na asfalt, nie zwracając wcale uwagi na przechodniów.

— Nie rozumiem, jak policya nasza toleruje podobnych ludzi — mruknął jakiś gruby obywatel, z oburzeniem patrząc w naszą stronę. — Dopóki apasze chodzić będą bezkarnie po ulicach Paryża, dopóty porządni ludzie spać spokojnie nie będą mogli.

— Zamknij dziób, przyjacielu — syknął Tharps, spluwając raz jeszcze siarczyście, pod same nogi grubego pana. Jeżeli boisz się apaszów — to zachowuj się względem nich z większym szacunkiem, bo jak się spotkasz z którym oko w oko, to już wcale spać nie będziesz potrzebował!

— Wiliamie! — szepnąłem — co ty robisz! Wpadniemy w jakąś awanturę.

— Właśnie mi o to chodzi! To mnie trochę rozrusza i doda energii, a będziemy jej dosyć potrzebowali dzisiejszej nocy. A z tobą, grubasku! to się jeszcze rozprawię przy sposobności, pamiętaj!

Pociągnąłem go za rękę, uradowany w duchu tą niespodziewaną sceną.

— Zdaliśmy egzamin Synhamie! — śmiał się Tharps, idąc za mną — Urodzony apasz byłby nas wziął za swoich!

— Gdzież my idziemy teraz?

— Do baru na ulicę Pyrenées. Huxley tam mi wyznaczył schadzkę.

Bar przy ulicy Pyrenées był nędzną szynkownią, gdzie przedewszystkiem sprzedawano w wielkiej ilości tanie wina i absynt. Klientela tej nory składała się przeważnie z osobistości bez określonego zajęcia, która bardzo często nie jadała wcale, ale zato piła zawsze.

— Jakże odnajdziesz tu Huxleya? — zapytałem, gdyśmy znaleźli się na sali tak zadymionej, że nie wiedziałem, w którą stronę się ruszyć. — Przecież on cię nie pozna pod tem przebraniem.

— Ale ja go poznam, bądź spokojny — odparł Tharps — Oh! już go widzę! Siedzi tam, w rogu.

— Gdzie?

— Ten apasz tam, co drzemie nad „Figarem" podobny do nas, z typu, nieprawdaż?

— I ty go już poznałeś?

— Tak. I on nas również, zaręczam ci.

Zdawało mi się, że Huxley nie zwrócił na nas uwagi, bo dalej leżał rozparty, na brudnej, zatłuszczonej ćwiartce dziennika, ale kiedy podeszliśmy do niego o kilka kroków, podniósł nagle głowę i mruknął coś pod nosem na znak powitania. Poczem gwałtownym ruchem bioder odsunął się w bok, robiąc nam miejsce na ławce. Czarna, spalona fajka leżała przed nim na stole, obok pustego kieliszka i flaszki z wina.

Wiliam Tharps usiadł obok niego, ja zaś umieściłem się naprzeciw nich, na skrzypiącem nieznośnie krześle o trzech nogach.

— Butelkę czerwonego! — zawołał Tharps ochrypłym głosem. — Tylko prędko! bo mi dyabelnie w gardle zaschło!

Siedzieliśmy w kącie dużej sali i z miejsca tego doskonale obserwować mogłem ruch panujący w około. W gęstych, gryzących oparach dymu przewijały się postacie różne, wszystkie nacechowane jakąś odrębną oryginalnością i zaniedbaniem. Kilku autentycznych robotników odcinało się niebieskiemi bluzami, od szarego tła otoczenia. Przy jednym stole siedziały dwie kobiety, w poplamionych, jasnych sukniach i olbrzymich, krzykliwych kapeluszach. Wymalowane ich twarze lśniły się w blasku lamp wiszących nad stołami. Przeważną część gości stanowiły indywidua o wyszarzanych ubraniach, brudnych koszulach i kaszkietach głęboko nasuniętych na oczy. Odzywali się głośno i swobodnie do właściciela szynkowni, grubiańskimi żartami zaczepiali dziewczyny obsługujące, rozpierając się szeroko na ławkach i stołach. Od czasu do czasu wszczynała się kłótnia jakaś, a wtedy zaniepokojony właściciel baru podbiegał żywo i gestykulując zamaszyście rękami, wypraszał całe towarzystwo na ulicę.

Przy dwóch stołach zabawiano się w gry hazardowne. Dźwięczały pieniądze, brzmiały przekleństwa i śmiechy donośne, niekiedy znowu milczenie zalegało zupełne. Stoły te należały do stałych i najlepszych gości zakładu. Właściciel kręcił się koło nich z serwetą brudną, przewieszoną przez ramię, nadskakując uprzejmie i wykonując szybko zlecenia gości.

Olbrzymi fonograf, umieszczony przy bufecie, wysilał się bez przerwy, aby chrapliwym rykiem swoim, zagłuszyć choć w części gwar i hałas unoszący się na zatłoczonej sali.

Huxley podparł się na łokciu i zapalił fajkę, a Tharps jak zwykle otaczał się kłębami dymu, nie wyjmując z ust papierosa. Zauważyłem ze zdziwieniem, że nie podnosił wzroku od gazety rozłożonej na stole. Ale po chwili, śledząc kierunek jego spojrzenia, zrozumiałem, dlaczego czytanie to tak bardzo go absorbuje i pochłania jego uwagę. Wyczytałem bowiem wypisany wielkiemi literami tytuł artykułu, który go tak zajmował. „Sprawa Saint-Mandé", a pod nim dwa drugie zatytułowane: „Nowa komplikacya", „Zniknięcie dwóch ludzi".

Nie zmieniając pozycyi mogłem odczytać artykuł cały. Twierdzono tam, że zbrodnia, popełniona w pensyonacie pani Donay na panu d' Orwaldzie, była dziełem ukrytej zemsty, nie umiano jednak wytłumaczyć tajemniczego zniknięcia zwłok. Autor artykułu interwiewował szefa policyi i zasięgał wiadomości między gośćmi pensyonatu. Wynikiem tego badania było kategoryczne twierdzenie, że markiz da Santa-Cruza i profesor Schoetten zostali pochwyceni przez tę samą bandę, która zamordowała pana d' Orwalda i i ukryła jego ciało.

Mała notatka, umieszczona widocznie w ostatniej chwili przed wyjściem numeru, donosiła, iż władze policyjne są już na tropie morderców i że wkrótce odkrytem zostanie miejsce, gdzie ukryto uwiezionych. Jak do tej pory, wszelkie przypuszczenia, iż zostali zamordowani, były bezpodstawne. Jednakże nie odkryto, pomimo usilnych zabiegów, żadnej łączności pomiędzy zamordowanym panem d' Orwaldem, a zaginionymi gośćmi pensyonatu „Donay". Osoby te bez żadnej wątpliwości poznały się dopiero po raz pierwszy u pani Donay.

Wiliam Tharps niechętnym ruchem odsunął zatłuszczony dziennik, ale po chwili uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Nie piszą nic o pierścieniu — szepnął, patrząc na mnie znacząco — to dobry znak dla nas!

Następnie dosyć długi czas rozmawiał szeptem z Huxleyem. Mówili po angielsku i pochwyciłem kilka słów, z których zrozumiałem, że Tharps waha się przystąpić do expedycyi uplanowanej przez Huxleya. Tenże zaś nagli gorączkowo i starał się przekonać. Twierdził, że jest na najlepszej drodze do odkrycia całej bandy i że każda godzina zwłoki może popsuć plan cały.

Nie znałem Huxleya, ale wiedziałem, że Tharps pokłada w nim wielkie zaufanie i ceni jego zdolności i zmysł organizacyi. Z oporu jednak mojego przyjaciela wywnioskowałem, ze lęka się zdemaskować niezręcznie własne plany, przystępując do akcyi poddanej mu przez ajenta.

Powodowany dyskrecyą, chociaż nie traciłem wątku ich rozmowy, udawałem, iż zajmuje mnie bardzo ruch i gwar panujący na sali. Po chwili przy sąsiednim stole usiadł człowiek jakiś i bystro rozejrzał się w około. Miał wygląd spokojnego rzemieślnika, który po całodziennej pracy w warsztacie, przyszedł się tutaj pokrzepić szklanką wina. Trzymał w ręce ołówek i kreślił jakieś arabeski na ćwiartce papieru, leżącej przy jego szklance. Znudzony już trochę przedłużającą się rozmową Tharpsa z ajentem, śledziłem machinalnie jego ruchy i zdumiałem się, rozpoznając w tych kreślonych niedbale rysunkach, odbitkę pieczątki znajdującej się na pierścieniu pana d' Orwalda. Pochyliłem się ostrożnie, aby się przekonać, czy się nie mylę! Ale nie! Rysunek najwyraźniej przedstawiał potworną, rozgałęzioną głowę bożka Siwy. Nie wiedziałem co zrobić, aby zwrócić niespostrzeżenie uwagę Tharpsa na niezwykłego rysownika.

W końcu potrąciłem go lekko łokciem i wzrokiem wskazałem naszego sąsiada. Poruszeniem powiek odpowiedział, że wie o co chodzi i w dalszym ciągu spokojnie rozmawiał z Huxleyem. Zdziwiony tą obojętnością, zacząłem większą uwagę przywiązywać do ich słów. Jak się przekonałem, plan ajenta był bardzo prosty. Dzięki długim i skrupulatnym poszukiwaniom doszedł do zupełnej pewności, że kosztowności skradzione majorowi Shurley dostały się do Francyi przez pośrednictwo pewnej bandy, której stałem prawie miejscem pobytu była drugorzędna kawiarnia na ulicy de la Vilette.

Był tam jeszcze dnia poprzedniego i pochwycił kilka uwag, które nabrały dla niego wielkiego znaczenia od chwili, w której się dowiedział od Tharpsa o zbrodni spełnionej na panu d' Orwaldzie i oryginalnem wykradzeniu indyjskiego pierścienia.

Teraz był już zupełnie pewny, że odbitkę tego szczególnego pierścienia widział na własne oczy pomiędzy fotografiami przysłanemi mu przez Archera, po włamaniu na Chirchill Street. Proponował więc Tharpsowi, aby mieć baczne oko na bandę z kawiarni Villette i przekonać się, czy rzeczywiście są między nią ci, których poszukują.

Był pewnym ponadto, iż znajdą tam mordercę pana d'Orwalda, gdyż to, co usłyszał dnia poprzedniego, utwierdziło go w tem przekonaniu.

Nie wiedział, czy tamci należą do bandy Lodowica Marmont, prawdopodobnie jednak znać ją musieli dokładnie.

Powodowany ostrożnością i pragnieniem porozumienia się przedtem z Tharpsem, Huxley zaini cyował tę schadzkę w barze, gdzieśmy się znajdowali. Nie mieliśmy więc tu już nic więcej do czynienia, bo z ostatnich słów Tharpsa wied ziałem, że zgodził się na propozycyę ajenta. Po chwili Wiliam zażądał rachunku i wyszliśmy na ulicę. Przechodząc obok stolika robotnika, zajętego bez przerwy rysunkami swoimi, zauważyłem, że Huxley porozumiewał się z nim tajemniczymi znakami. Tharps musiał to również spostrzedz, bo pochylił się do Huxleya i zapytał szeptem:

— Ten człowiek w bluzie pracuje na twój rachunek, nieprawdaż?

— Tak, panie Tharps — odpowiedział ajent. — To jeden z najdzielniejszych moich pomocników. Był pośrednikiem swojego czasu pomiędzy mną a Archerem. Wczoraj telefonicznie prosił mnie o przyłączenie się do nas. Prosiłem go o znak jakiś, bo wiedziałem, że przyjdzie przebrany, a właściwie dotąd porozumiewałem się z nim tylko listownie i nie znałem go dokładnie. Tym znakiem miał być rysunek bożka Siwy. Mogłem więc być pewnym, że nie pomylę się co do osobistości. Człowiek ten nazywa się Chartton i brał udział w śledztwie skierowanem przeciw włamywaczom do willi majora Shurtey'a. Znał doskonale każdy skradziony przedmiot i mógł się stać bardzo użytecznym w naszej sprawie.

Na rogu ulicy Huxley odwrócił się i przekonawszy się, że nikt nas nie śledzi, dał znak towarzyszowi, aby przyłączył się do nas.

Przywitał nas kilku grzecznymi słowami, podczas kiedy Tharps obserwował go bacznie.

Widocznie odczuł pomimo zapadającego zmroku to uporczywe spojrzenie skierowane ku niemu, bo widziałem, jak drgnął i zmienił się. Dopiero w kilka minut później odzyskał równowagę i swobodę.

— Musimy się rozłączyć — zauważył po jakimś czasie Tharps. — Gdybyśmy weszli we czterech do kawiarni, łatwo moglibyśmy zwrócić uwagę na siebie.

— Zdaje mi się, że to jest zbyteczne — odezwał się Chartton. — W kawiarni o tej porze będzie pełno gości. Wejście nasze nie będzie spostrzeżone.

— A jednak zrobimy tak, jak powiedziałem — odparł stanowczym głosem Tharps.

Siódma godzina biła na niedalekim zegarze.

— Dyabelnie głodny jestem — zauważył Huxley krzywiąc się pociesznie. — Zjadłbym coś chętnie. Panie Tharps, możebyśmy przedtem wstąpili gdzie na obiad. Trzeba nabrać sił przed naszą wyprawą.

— Doskonała myśl, mój kochany — odrzekł Tharps. — Mamy dosyć czasu jeszcze przed sobą... Cóż ty na to, Synhamie?

— Przyjmuję propozycyę Huxleya — odpowiedziałem. — Gdzież pójdziemy?

— Jest tu niedaleko wcale przyzwoita restauracya, słynna z dobrej kuchni — podsunął Chartton.

— Prowadź nas pan tam! — zawołał wesoło Tharps.

Poznałem po jego zadowolonej minie, że bardzo był rad propozycyi Huxleya. Chciał, jak mi to później powiedział, poznać bliżej protegowanego ajenta, który miał „pracować" przy jego boku.

Próba musiała wypaść pomyślnie, bo kiedy opuszczaliśmy restauracyę, w której spędziliśmy godzinę, twarz mojego przyjaciela jaśniała pogodą i zadowoleniem.

Zajęliśmy w sali oddalony kącik i spokojny, gdzie mogliśmy swobodnie rozmawiać, nie troszcząc się o niedyskrecyę sąsiadów. Rezultatem tej rozmowy było przekonanie, że Chartton był doskonałym dla nas nabytkiem. Miał przy sobie fotografię indyjskiego pierścienia, którą nam przedstawił. Był on niezawodnie tym, który spowodował krwawy dramat w pensyonacie „Donay".

Wiliam Tharps rozpytywał go szeroko o cenny zbiór majora. Chartton był nie wyczerpany w odpowiedziach i zdawał się być szczegółowo poinformowany o wszystkiem.

Widziałem, że poczciwy Huxley był uszczęśliwiony z powodzenia swojego protegowanego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Ostatnie chwile Macocha: Damazy Macoch w ubraniu więziennem.



Wystawa sztuki w Zakopanem: Fragment wystawy

Żegluga podwodna.

(Do illustracyi na str. 4)

Wojna obecna obfituje w najrozmaitsze niespodzianki. Jedną z nich, która wywołała w całym świecie olbrzymie wrażenie, była podróż niemieckiej łodzi podwodnej „Deutschland" do Ameryki. Łódź ta, a właściwie okręt, specyalnie skonstruowany do celów handlowych, zapoczątkował nową erę regularnej żeglugi podwodnej. O tym tryumfie współczesnej techniki pisaliśmy już w poprzednim numerze, zamieszczając dwa zdjęcia: odjazd „Deutschlandu" z przystani i główny oddział maszynowy łodzi. Obecnie zamieszczamy dalsze zdjęcia z „Deutschlandu" i jego historycznej podróży.

Ostatnie chwile Macocha.

W więzieniu piotrkowskiem zmarł niedawno głośny przed kilku laty Macoch. — O ostatnich jego chwilach korespondent lwowskiego „Wieku Nowego" podaje ciekawe szczegóły. Cierpienia płuc i opuchniętego skrofułami gardła wtrącały Macocha w bezsenność, nie dając mu chwili wytchnienia. Komendant więzienia, kapitan Zdzarski, interesował się więźniem i w granicach ostrych postanowień więziennych starał się ulżyć jego doli. Przed nim też często zwierzał się Macoch.

W czasie choroby nikt go nigdy nie odwiedzał. Jedynego blizkiego mu człowieka, ongi przyjaciela i wspólnika zbrodni Starczewskiego, tak nienawidził, że popadał w najwyższe rozdrażnienie, gdy mu podsuwano myśl, że mógłby z nim pomówić. O spełnionem morderstwie nigdy ani słowem nie wspomniał. Kapitan Zdzarski przez ciekawość zapytał go raz o szczegóły zbrodni, ale i wówczas Macoch pytanie to pozostawił bez odpowiedzi.



Legiony na polu walki: Wybuch rosyjskiego granatu na wzgórzu brygadyerów. (Fot. Leg Maysenhalter).

Na kilka godzin przed śmiercią poprosił do siebie kapitana Zdzarskiego i prosił go, by nie chowano go na cmentarzu, ponieważ nie czuje się godnym spoczywać z innymi ludźmi. Wyraził natomiast życzenie, by go pochowano na drodze cmentarnej, aby grób jego zdeptali przechodnie. Oszczędzono mu tego. Dnia 7 września o godzinie 4 po południu ruszył z bram więziennych skromny pogrzeb, prowadzony przez ks. Wojciechowskiego. — Za trumną z sosnowych desek nikt nie poszedł. Dopiero w drodze gromadził się tłum gapiów. — Zwłoki złożono na cmentarzu opodal grobów wojskowych.

Wśród huku armat.

(Do illustracyi na str. 10).

Nigdzie tak jaskrawo nie występują wszystkie przeciwieństwa życia, jak na wojnie. Radość i cierpienia, bezfrasobliwa zabawa i groza śmierci zmieniają się tam jak w kalejdoskopie. Smierć czyha dookoła, zbiera wciąż swe okropne żniwo — nie potrafi jednak stłumić potęgi życia, które ma swoje prawa nawet na wojnie, wśród huku armat. — Na froncie, w obliczu nieprzyjaciela, choć wiadomo, że każda godzina może przynieść rany lub śmierć, płynie życie żołnierskie wśród codziennych trosk i kłopotów, a nie brak i jasnych promieni śmiechu, wesela i zabawy. Dwa takie obrazki z życia Legionistów na froncie, wśród huku armat, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Wystawa sztuki w Zakopanem: Fragment wystawy



Klęska Rumunii: Ratusz w Kronstadzie.

Kronika tygodniowa.

Na tem samem posiedzeniu Rady miasta, o którem wspomniałem mimochodem przy samym końcu poprzedniej kroniki z okazyi wystąpienia pp. Dra Langa i Daszyńskiego *ex re* nieprawnie powziętych uchwał, nazwijmy je emerytalnych, postanowiono także założyć wojenne kuchnie dla głodnej intelligencyi.

Projekt to bardzo piękny, obawiać się jednak należy, że. jak wszystko zresztą u nas, zanim jeszcze wejdzie w życie, ulegnie spaczeniu. Na razie rozpoczęto spisywanie głodnych, którzy w owej kuchni mieliby zamiar restaurować swe siły. Jeśli się znajdzie odpowiednia liczba, kuchnie zaczną dymić już pierwszego października na pożytek zgłodniałej ludności.

Rzecz prosta, że w pierwszym rzędzie będą mogli z niej korzystać tylko lojalni obywatele, którzy złożą świadectwo moralności, potwierdzone przynajmniej przez dwu znanych krakowskich demokratów, iż petent nigdy przeciw miejskim wielkościom ani słowem, ani czynem nigdy nie wystąpił, (tylko myśli wolne są od cenzury) i jako taki zasługuje na nakarmienie. Jeśli podanie zostanie uwzględnionem, kandydat lub kandydatka złoży w ręce kierownika kuchni uroczyste ślubowanie, iż podczas spożywania obiadu lub kolacyi zachowywać się będzie moralnie, to jest nie będzie się zajmować polityką, wyborami, uchwałami Rady miejskiej, nie wspomni też ani słowem o emeryturach, zaopatrzeniach, dotacyach i t. d. — Gdy to wszystko już się stanie, będą mogli zasiąść do stołu i jeść, jeśli *nota bene* mają apetyt. Obywatele, należący do typu żarłoków, są od korzystania z dobrodziejstwa wykluczeni, przyjęto bowiem za zasadę, iż kuchnia ma pokrywać w zupełności wydatki i nie może przynosić deficytu, jak inne miejskie przedsiębiorstwa.

Wobec tego kronikarz, który świadectwa moralności nie zdobędzie, a zresztą nie mógłby przysiądz, że potrafi utrzymać język za zębami i wstrzymać się od krytykowania gospodarki miejskiej, nie przejdzie na wikt wojenno magistracki i będzie się musiał zadowolić tem, co mu w domu „spitrasi“ kochana Weronika.

W kuchni wojennej przestrzegane będą dni bezmięsne i beztłuszczowe, chleb otrzyma się tylko za kartką, raz na tydzień, w dniu później oznaczyć się mającym obiad, podawany będzie w rowach strzeleckich w Parku dra Jordana, aby instytucya nabrała więcej jeszcze charakteru wojennego. Wojownicze zachowywanie się w kuchni i poza nią przez magistrackich stołowników jest zakazanem i będzie karanem grzywną, względnie karą aresztu.

Przyznać jednak trzeba, że zaprowadzenie instytucyi kuchni wojennych dla intelligencyi jest bardzo pożądanem. Stołowanie się w domu sprawia gospodyniom nadzwyczajne trudności, branie obiadów zaś lub kolacyi z publicznych jadłodajni, pomijając już okoliczność, że dla zdrowia niezbyt korzystne, połączone jest z takimi kosztami, że chyba kamienicznik może sobie na podobny zbytek pozwolić. Wystarczy powiedzieć, że zwyczajna sztuka mięsa, która ongiś kosztowała trzy szóstki, doszła już do dwu koron, a i tak narzekają jeszcze restauratorzy, że tracą na tym interesie.

A tu, jak wiadomo powszechnie, bez jedzenia w żaden sposób obejść się nie można, trzeba więc myśleć nad tem, jak złemu zaradzić i w tym właśnie celu założyć postanowiono owe kuchnie wojenne dla intelligencyi, które, oby rozwijały się jak najpomyślniej na pożytek naszych żołądków, dziś bardzo skurczonych, choć mieszkamy w rozszerzonym Krakowie.

Aczkolwiek bowiem komisya aprowizacyjna odbyła już przeszło sto posiedzeń, sama aprowizacya miasta pozostawia bardzo wiele do życzenia. Dola nasza jest dość gorzką, chcielibyśmy ją więc sobie osłodzić i w tym celu wydano nam karty cukrowe, które, same przez się, nie są wcale słodkie. Taką kartę, za złożeniem odpowiedniej opłaty, można w handlu korzennym zamienić na cukier, ale to przychodzi z trudnością. — Chcąc zdobyć kilogram cukru, trzeba mieć iście anielską cierpliwość i być nieczułym na rozmaite urazy cielesne. — Przed sklepami z ową buraczaną słodyczą taki ścisk i zamieszanie, że wiele osób wyrzeka się jej i pije herbatę bez cukru, te zaś, które za każdą cenę postanowiły ją nabyć, przed udaniem się na kupno ubezpieczają się najpierw od wypadku.

Jeśliby kto miał ochotę zawczasu się przekonać, jaki rwetes będzie ogólnie kiedyś, w dniu sądu ostatecznego, na dolinie Jozafata i ile kłopotu będą mieli aniołowie, pilnujący tam porządku, z ustawianiem duszyczek, czekających na swą kolej, niechaj wybierze się kiedy przed sklep Jawornickiego, Szarskiego lub Suskiego, ale w dniu, kiedy cukier wydają. Już od wczesnego ranka gromadzą się tłumy, szczęśliwy, kto zajął miejsce tuż przy samych drzwiach, choć i tak musi czekać kilka godzin, gdyż personal sklepowy dopiero cukier pakuje. Jak tam, tak i tu słychać jęki i przekleństwa potępieńców, skazanych na smażenie się w wiecznym ogniu — to stękają i złorzeczą ci, którym gniotą żebra, depczą po odciskach i t. d. A żniwo prawdziwe mają złodzieje kieszonkowi, którzy przybyli tu wprawdzie bez pieniędzy i kart cukrowych, wychodzą natomiast zaopatrzeni obficie we wszystko...

Taki przedsmak sądu ostatecznego można mieć co kilka dni, ilekroć tylko nadejdzie do Krakowa świeży zapas cukru i łaskawie rozdzielonym zostanie wybranym przez pana radcę Heumanna, szefa „Biura rozdzielczego“.

Scentralizowanie handlu cukrem było koniecznem ze względu na ogólną sytuacyę, organa przecież urzędowe powinny baczyć na to, by ludność nie była skazaną na łaskę i niełaskę jednostek, forytujących jednych, miłych swemu sercu, ze szkodą innych i całego ogółu. Za gruby więc błąd uważać należy postanowienie, rzekomo magistratu, iż dążyć się będzie do tego, aby wykluczyć drobnych kupców od sprzedawania cukru, gdyż gdzieś tam któryś dopuścił się podobno jakiegoś nadużycia (sprzedał, dajmy na to, ćwierć funta bez kartki!...), boć tylko w ten sposób, jeśli się sprzedaż cukru odda jak największej liczbie kupców we wszystkich dzielnicach, uchroni się ludność od niepotrzebnej straty czasu i innych nieprzyjemności, jak na przykład chodzenie na Kazimierz, gdzie nawet bez kartki można się zaopatrzyć po znajomości w cukier, ale trzeba zapłacić daleko wyższą cenę, niż ją ustanawia taryfa.

Jak „Kuryerek“ zaznacza, owo wykluczenie drobnych kupców od sprzedaży cukru odnosi się tylko do kupców chrześcijańskich, którzy ściągnęli na siebie gniew „cukrodajcy“, pana radcy Heumanna, poważyli się bowiem pojechać ze skargą na nierówny podział i inne szykany aż do Wiednia, wnieśli też oskarżający memoryał do magistratu, i od dwu miesięcy czekają cierpliwie na załatwienie. Kara ich też za to minąć nie powinna, iż poważyli się targnąć na powagę potentatów cukrowych, w których jedynie ręku leży możność osłodzenia naszej doli.

Powiada przysłowie: „Zemsta jest słodka“, pan radca Heumann dodał jednak: „Ale wam będzie gorzko!...“ i nie daje im cukru, choć nim od szeregu lat handlowali, natomiast nie brakuje go u różnych handlarzy farb, skór, mydła i t. d., którzy nagle zamienili się na „cukierników“.

Prasa, której przedstawiciele cierpią też głód cukrowy i mają z tego powodu awantury ze swemi Weronikami, uderzyła na alarm, nawet radcy miejscy, koledzy pana Heumanna, zaczęli się krzywić, ostatecznie trzeba było zrobić coś. Rozdzielono więc w ostatnim czasie cukier między kilkadziesiąt sklepów, aby w ten sposób zamydlić oczy opinii publicznej, ale na tem jeszcze nie koniec. Ponieważ komunikaty urzędowe magistratu doniosły, że komisya wykryła nadużycia u pewnych grosistów, (nazwisk ich nie podano!), rozdział cukru powinien stanowczo zostać umiastowiony, a w ten sposób uchroni się ogół od nieprzyjemności i wyzysku.

Bardzo słusznie zauważa *Kuryerek:*

„Gdy sklepikarz sprzeda towar o kilka centów drożej, niż na to pozwala taryfa, płaci (słusznie!) grzywnę, dostaje się (słusznie!) na szpalty dzienników. Dlaczego zaś magnatów hurtownych, wyzyskiwaczy w wielkim stylu, traktuje się w rękawiczkach? W interesie uczciwych grosistów nadużycia innych powinny być piętnowane z całą surowością“.

Ale, niestety, ci panowie „obercukiernicy“ są zbyt pewni siebie, bo wiedzą, że mają wpływy w pałacu Wielopolskich, zwłaszcza, gdy się zbliżają wybory... Trudno więc z nimi zadzierać... Prezydyum się z nimi liczy, a cóż dopiero urzędnik, któremu potrafią się przypomnieć i bynajmniej nie mają zamiaru „osłodzić“ jego doczesny żywot.

Smutne to, ale prawdziwe!

Lecz nie tylko z cukrem tak się dzieje. Z każdym inuym artykułem spożywczym, o ile tylko jest nań popyt, powtarza się to samo. Wszędzie mamy do czynienia z różnymi „grosistami“, którzy wykupują wszystko przez swych pośredników, by potem nakładać ceny, jakie im się podoba. Galicya, kraj rolniczy, który dawniej zaopatrywał inne kraje koronne, cierpi dziś na brak mleka, masła, sera, jaj, mąki, mięsa a nawet owoców, gdyż to wszystko wywozi się tam, gdzie się za to uzyskuje wyższe ceny.

Narzekamy na braki najrozmaitsze, ale sami do tego przykładamy rękę. Przypomnę wniosek, postawiony na jednem z posiedzeń Rady miejskiej, żądający od prezydyum, aby postarało się o zniesienie zakazu wywozu z Krakowa różnych artykułów, bez których obejść się trudno, a których nie posiadamy zbyt wiele.

Prezydyum obiecało, nie zastanawiając się, że jeżeli teraz jest źle, bo tego i owego brakuje, to po zniesieniu zakazu wywozu będzie jeszcze gorzej, gdyż wtedy wywiozą wszystko, co się tylko do wywozu nadaje. Dziś, gdy zakaz ów istnieje, dzieją się różne nadużycia, cóż dopiero będzie później.

Ale trudno! Słusznie, ktoś powiedział, że wojna to raj dla hyen wszelkiego rodzaju, a miał na myśli zapewne nie tylko czworonożne, pręgowane i centkowane, co to „żywcem nieboszczyków pożerają“, ale i owe dwunożne, zdzierające skórę z żyjących, by tylko wyładować swą bezdenną kieszeń.

Do rzędu tych wojennych spekulantów zaliczyć należy także i panów piwowarów, którzy z dnia na dzień podnoszą ciągle ceny piwa, motywując swój postępek nowemi trudnościami w otrzymywaniu surowca, opłatami, podatkami i t. p. Bomba pilznera, którego zresztą i tak trudno dostać, doszła już do trzydziestu centów. Myśleliśmy, że na tem koniec, ale się grubo zawiedliśmy, bo oto w niedzielę nadeszła do Krakowa hiobowa wieść z Pilzna, iż cenę piwa podnosi się o czterdzieści koron na hektolitrze, na jedną bombinę wypadnie więc okrągło dwadzieścia halerzy, czyli razem centów czterdzieści, lub halerzy ośmdziesiąt. Żaden piwosz nie marzył nawet, że kiedyś pilznerek będzie dlań tak drogi, a nie jest bynajmniej wykluczonem, że dojdzie i do korony, choćby tylko dla zaokrąglenia ceny i nie wydawania reszty, gdyż o drobne dziś trudno!

Takiemi to sprawami zajmować się musi kronikarz. O wiele szczęśliwsi są dziennikarze państw neutralnych, którzy mogą umieszczać n. p. nekrologi małp z ogrodów zoologicznych.

„Svenska Dagbladet“ donosi:

„Z małp, znajdujących się w ogrodzie zoologicznym w Kopenhadze, pozostały przy życiu dwie tylko. W niedzielę zmarła (!) siódma z kolei. Skończyła na chorobę kiszek, jak wszystkie jej poprzedniczki“.

Szczególniej wzruszający jest opis ostatnich jej chwil i spotkanie z byłą dozorczynią. — Gdy ją ujrzała, choć chora, zarzuciła jej oba ramiona na szyję, wydając z siebie radosne okrzyki. Bo i małpy, nawet neutralne, umieją się radować!

W kilka dni później Greta, tak zwała się owa małpa, przeniosła się do wieczności (!), ale ostatnie chwile spędziła w ramionach swej przyjaciółki.

„Był to wzruszający widok“ — czytamy dalej — „Przed klatką stały tłumy ludzi. Wszyscy mieli łzy w oczach“...

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył S. Jelonczа, Wola Justowska.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczenin. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, ntworzą nazwisko polskiego poety.

— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Roślina podzwrotnikowa. 2. Imię biblijne. 3. Miasto w Slawonii. 4 Imię żydowskie. 5. Miasto we Fenicyi. 6. Dnch 7. Drzewo liściaste. 8 Rzeka w Galicyi. 9 Znakomity botanik szwedzki

Równanie.

Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu psendonim (dwa wyrazy) polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego powieści.

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{4} + \frac{c}{4} + \frac{d}{2} + \frac{e}{6} = x.$$

$$\frac{m}{4} + \frac{n}{3} + \frac{o}{3} + \frac{p}{4} + \frac{r}{2} + \frac{s}{3} = y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Nazwa żydowska Boga. b) Minister Księstwa Warszawskiego. c) Ciężar, obowiązujący chłopa w Polsce. d) Ubiór góralski. e) Jenerał rosyjski (imię i nazwisko). m) Część jamy ustnej n) Broń. o) Związek ołowin. p) Drzewo liściaste. r) Przetwór mączny. s) Oznaka władzy hetmańskiej.

Kwadrat magiczny.

Ułożył X. Nilik, Kraków.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a
a	a	d	k
k	m	m	n
o	o	p	r

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej skrzynia 2. Imię męskie. 3. Kolor w kartach. 4. Związek chemiczny.

Przysłowiówka.

Ułożył X Nilik, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Swój G. D. Wasza żonka kocha Lili.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Wynaleźć tytuły utworów niżej wyszczególnionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, ntworzą nazwisko polskiego malarza.

Gomulicki?
Świętochowski?
Słowacki?
Kraszewski?
Goszczyński?
Goethe?
Wyspiański?
Ujejski?
Byron?
Herbaczewski?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył X. Nilik, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Lok z psem idą po dar kozy.

Logogryf.

Ułożył S. Jelonczа, Wola Jnstowska.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczenin. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, ntworzy imię i nazwisko słynnego niemieckiego poety.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Starożytny lud w Azyi Mniejszej 2. Rozpłynięcie się w nicość. 3 Termin matematyczny. 4 Niebo n Germanów 5. Godność dnchowna 6 Stopień wojskowy. 7 Bohater trojański. 8 Prorok żydowski. 9. Imię żeńskie 10. Skład broni. 11 Wódz macedoński. 12. Godność duchowna.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Enewe Ceł pije. On starszy i siostrą bije

Bilety wizytowe.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

P. DABORSKI

ARON LAPSKI

ANTEK BRUWIDEN

PLORER TOK.

I. ŻERSTAN

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 37.

Łamigłówka:

Kawa
Omar
Noga
Igor
Ezaw
Cisa
Wino
Azor
Kora
Amnr
Cera
Yard
Iran

Zadanie do przestawienia: Zacznij sianokosy, zapłaczą wnet niebiosy.

Szarada: Karabiny.

Okienko:

S	a	n	d	a	c	z
a			r			u
n			e			z
d	r	e	z	y	n	a
a			y			n
c			n			n
z	n	z	a	n	n	a

Przysłowiówka; Czekaj tatka latka, aż kobyłę wilki zjedzą

Trójkąt magiczny:

W	e	d	z	i	n	o	w	s	k	i
O	r	z	e	ł	b	i	r	k	u	t
D	ż	d	ż	o	w	n	i	c	a	
Z	i	e	l	e	n	i	a	k		
I	n	k	w	i	z	y	t			
N	i	k	o	d	e	m				
O	c	z	l	i	k					
W	y	d	r	a						
S	ł	ó	j							
K	i	r								
I	ł									
W										

Zadanie do przestawienia: Cicha woda brzegi rwie.

Zadanie do przestawienia: Co nagle, to po dyable.

Logogryf:

B	e	r	l	i	n
E	d	w	a	r	d
R	a	c	i	n	e
L	h	a	s	s	a
I	t	a	l	i	a
N	e	l	s	o	n

Bilety wizytowe: Hycel. Kosiarz. Koszowy. Inspektor szkolny. Linoskoczek.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jaknbowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, I. Galler Lipnik, Z. Szymanek Nowy Sącz, St Vincenz Nowy Sącz, E. Tobiczyk Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Vincenz, Nowy Sącz.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Złodziejka Anna Nędza z Izdebnika ad Kalwarya.



300 koron nagrody

otrzyma ten, kto przytrzyma złodziejkę, Annę Nędza z Izdebnika, obw. Kalwarya, z towarzyszką jej, Honoratą Kopczyk, blondyną, wzrostu średniego, oczy siwe, nos orli, średniej tuszy. Anna Nędza w towarzystwie Honoraty Kopczyk okradła urzędnika kolei z Trzebini, p. F. K., na 3000 K gotówki oraz dwa zegarki złote z łańcuszkami, pierścienie i inne złote przedmioty. Prawdopodobnie skradły te same dziewczęta w dniu 7 b. m. w Pradze p. Maryi Kostiakowej kwotę 16.000 K. Dotychczas władza nie zdołała ich pochwycić. Poszkodowany zwraca się tą drogą do P. T. Czytelników, ktoby wyżej wymienione napotkał, raczy oddać je w ręce władz. Dokładny adres poszkodowanego poda Administracya „Nowości Illustrowanych".

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 3 (dom własny) Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Branzoletka z zegarkiem i szkłem ochronnym

kor. 6·—



kor. 12·—

Branzoletka z zegarkiem i rzemykami, duży format, K 6·—. Radiowy K 10·—. Branzoletka z zegarkiem, mały format K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— i więcej. Szkło ochronne K 2·— i więcej. Wojenny zegarek z dobrym werkiem Anker kor. 6·—. I. jakości K 10·—, prawdziwy srebrny K 20·—. Budzik kieszonkowy K 24·—, radiowy K 32.—. Odpowiednie skórzane rzemyki na rękę K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 8·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie i porto opłacone do całych Austro-Węgier i w pole wysyła **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

BAZAR KRAJOWY

KRAKÓW

ulica Szewska 22

: LWÓW :

ul. Akademicka 10

poleca najtaniej wyrobu krajowego:

Wyroby koszykarskie, majolikę, rzeźby zakopiańskie, galanteryę, portfele, portmonetki, torby z Miejsca Piastowego, kufry, pudła podróżne i t. p. 2

SUKNA płócienne towary i modne materye męskie i damskie poleca firma

Prokop Skorkovský i syn

Humpolec, Czechy.

Próbki na żądanie franko.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

Wojenna, skórzana branzoletka z zegarkiem



niklowym lub stalowym Kor. 12·—, 16·—, 20.—, z radium świecącą tarczą Kor. 16·—, 20·—, 24·—. Srebrne Koron 18·—, 24·—, 28·—, srebrne ze świecącą tarczą Kor 30·—, 36·—, 40·—. Branzoletka złota 14-to karatowego Kor 100·—, 120·—, 140·—. Na każdy zegarek 3-letnia pisemna gwarancya! Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Zamiana dozwol. lub zwrot pieniędzy.

I-sza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dost w Brüx Nr 1570 (Czechy)

Główny katalog darmo i opłatnie

WYROBY KRAJOWE

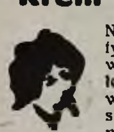
Rok zał. 1880. **D. Béze** Rok zał. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Krem twarzowy jako puder.



Na bok z waszym pudrem, który tylko pory zatyka i z czasem tworzy bruzdy na twarzy. Używajcie **Dr. A. Rixa perłowego pudru-kremu** białego, różowego, kremowego. Puder-krem jest prawnie chroniony, zupełnie nieszkodliwy, żadna szminka. Natychmiast po użyciu otrzymują panie matową delikatną cerę, dla pielęgnowania skóry i piękności niezrównany, dobry i oszczędny w użyciu. Próbna doza K 1·65, duża doza wystarczająca na 4 miesiące K 3·30. Wysyłka ściśle dyskretna.

Kosmetyczne labor. Dr. A. Rixa Wiedeń IX, Lakiergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska Rynek 37. Perfumerya pod „Kometą“. **We Lwowie:** Perfumerya Składowskiego, apteka pod srebrnym Orlem ul. Krakowska 1. **W Białej:** Droguerya Polaczka ul. Kolejowa. **W Cieszynie:** Schw. Hunddrog i Anckerdrog.

Jedyny w Przemyślu który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ JAN SMYK

Przeprowadza ekshumacye i transport zwłok z każdej miejscowości. Wyjaśnień udziela się chętnie.

Przemyśl, Rynek L. 16

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Założony w roku 1900! **Po drodze do Zakopanego** Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie**

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.

Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

ADMINISTRACYA „Nowości illustrowanych“ odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego